

TYGODNIK ILLUSTROWANY



STUDYUM (z Salonu jesiennego T. Z. S. P.)

MAISIE TONGUE

SZYMON ASKENAZY:

Szkodliwe zatargi.

Od początku rewolucji listopadowej poczęły napływać do władz centralnych warszawskich niepokojące wiadomości o wątpliwym zachowaniu się części ludności ewangelickiej Królestwa. Od lutego 1831 roku, to jest w samym czasie ciężkich walk grochowskich, jak wynika z raportów składanych przez urzędy wójtowskie—np. z charakterystycznego raportu wójta gminy Janków, Jankiewicza, 28 lutego t. r., o zajściu w kolonii Ciosny—zaczęło już nawet w niektórych miejscowościach dochodzić wprost do zbrojnych wystąpień kolonistów niemieckich przeciw władzom krajowym. W województwach z licniejszą ludnością niemiecką zdawało się zanosić nieomal na rodzaj wojny domowej.

„Aczkolwiek oddawna—donosił komisarz obwodu rawskiego, Rzeszotarski, w raporcie 3 marca t. r.—niechęć i niesforność okazywała się w koloniach i osadach przez Niemców zamieszkałych, aby jednak i władz wyższych przy natłoku innej pracy nie utrudzać, i łagodnym postępowaniem zjednać onychże do przychylności krajowi, używałem pobłażania; lecz teraz jawne nieposłuszeństwa i złych chęci okazują się dowody,... bo mają między koloniami związek... i, jak mam poszlaki, pastorowie do tego mają być powodem przez tajemne w złym duchu udzielane rozkazy”. Do szczególnie przykrych i ostrych zatargów doszło, między innymi, w Łodzi. Tutaj—jak wynika z petycji do Rządu Narodowego, podpisanej przez proboszcza parafii łódzkiej, Józefa Kriegera, i sześciu obywateli miejscowych, 11 marca t. r.—„współobywatele, z zagranicy do miasta Łodzi oddawna na zamieszkanie przybyli, a mianowicie ci, którzy przez do zbytku dawane im od Rządu dawniejszego forszusa pieniężne i inne dobrodziejstwa do znacznych majątków przyszli”, a w obecnej gwałtownej potrzebie krajowej nie tylko obojętne, lecz wręcz wrogie zajęli stanowisko. Niemcy łódzcy, pod kierunkiem burmistrza Tangermanna i fabrykanta Tytusa Kopischa, uzbrowszy się potajemnie na własną rękę w broń sieczną i palną, otwarcie zrywali i deptali kokardy narodowe, odmawiali ofiar i rekruta, zgoła wyłamywali się zarówno ze sprawy powszechnej, jakoteż z podwładności władzy rządzącej polskiej.

Rzecz sama przez się, w ówczesnej krytycznej dobie, ze wszechmiar była niemiłą i kłopotliwą. Ale więcej jeszcze dawały do myślenia głębsze powody tego zjawiska. Jeśli wchodziły tu w grę pewne nieprzyjemne wpływy pastorskie, rodziło się zaraz pytanie, skąd one były inspirowane. „Zataić nie można domysłu,—pisała z tego powodu Komisya województwa mazowieckiego do Rządu Narodowego, w raporcie 6 marca 1831 (*cito*)—czyli pastory nie są narzędziami Rządu pruskiego”. W rzeczy samej, rząd pruski, od chwili wybuchu rewolucji listopadowej, czujnie stał na straży. Stał nad samą granicą Królestwa ze zmobilizowanymi dwo-

ma korpusami, w 50,000 ludzi i półtorasta dział. Na rewolucję zapatrywał się jako na najpomyślniejszą okazyję do uzyskania dla siebie planowanych oddawna nabytków, do zaboru mianowicie zachodnio-północnej części Królestwa Polskiego. Wyczekiwał tylko większych niepowodzeń broni rosyjskiej, aby, pod pozorem sukursu, wkroczyć do kraju i skutecznie okupację owych upragnionych nabytków. Wobec zaś zupełnego niemal ogołocenia granicy zachodniej z wojsk polskich, które wszystkie ściągnięte zostały pod Warszawę, władze pruskie, w szczególności z Torunia, miały wszelką swobodę komunikowania się z żywiołami niemieckimi w Królestwie i oddziaływania na nie w duchu zarazem oporności przeciw władzom polskim, a przygotowywania się zawnazem do spodziewanej inwazyi pruskiej.

W Rządzie Narodowym i ministeryach warszawskich od pierwszej chwili wystąpienia tych drażliwych zatargów postanowiono sobie możliwie unikać wszelkiego przymusu i rzecz całą w najwyrozumialszym traktować sposobie. Nie chciano rozdmuchiwać sprawy i nie pominięto niczego, co za wytlómaczeniem winnych przemawiaćby mogło. „Następuje się przy tej okoliczności uwaga—pisał minister prezydujący Komisji Rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Aleksander hr. Bniński,—że gdy pomiędzy kolonistami ewangelikami znajdują się kwakry i menonicy, którym zasady ich religii nie pozwalają służyć w wojsku, być może ten przypadek, iż pomiędzy opierającymi się do poświęcenia się usłudze wojskowej są tacy, którzy tę religię wyznają, a naówczas obwinienie owych zasługiwać będzie na wzgląd”. Jednakowoż, wobec napływających zewsząd niepomyślnych doniesień o zachowaniu się ludności niemieckiej, niepodobna było zamykać oczu na ogólniejsze znaczenie tego zjawiska. Wobec tego Rząd Narodowy ujrzał się spowodowanym do przedsięwzięcia środków zaradczych, a uczynił to znowuż w postaci najłagodniejszej: zwrócił się mianowicie w tym celu do naczelnych władz ewangelickich w Warszawie.

Należy tu zauważyć, iż dwoiste te władze, Konsystorz Generalny i Kolegium luterskie,—gdyż nieliczna ludność kalwińska oczywiście nie wchodziła w rachubę,—przedstawiły zdawien dawna pewną, wcale znamieną dystynkcyę pod względem narodowym. Podczas gdy świeckie Kolegium wczesnie przejęło się duchem obywatelskim polskim, natomiast Konsystorz Generalny wraz z pierwszym pastorem dość długo skłonny był raczej zachować separatystycznego ducha dysydencko-niemieckiego; — przyczem w dodatku taki jeszcze zazwyczaj zachodził stosunek, iż drugi pastor, z reguły poniekąd przeciwwaga pierwszego, znajdował przeciw niemu poparcie w łonie Kolegium. Tak było oddawna, jeszcze pod koniec Rzeczypospolitej polskiej, kiedy pierwszy pastor warszawski, Ringeltaube, w zatargu o nową ordynacyę kościelną, zaprowadzoną zamiast starej agendy saskiej, oddał się pod opiekę ówczesnego pośła rosyjskiego w Warszawie, barona Stackelberga,—w przeciwieństwie do antagonisty swego, drugiego pastora, dziel-

nego Hemmericha, który później, zaciągnąwszy się do legionów, zginął na ziemi włoskiej śmiercią dobrego Polaka. Stosunki te uległy znacznemu jeszcze pogorszeniu w ciągu dziesięcioletnich rządów pruskich w Warszawie. W dobie Księstwa Warszawskiego, co prawda, pewna nastąpiła poprawa, i gmina ewangelicka warszawska jeszcze w 1812 roku była przystąpiła do Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego. Ale wpływy pruskie pozostały w mocy i nie przestały oddziaływać w następnym okresie Królestwa Kongresowego. Przedstawicielem ich, w obecnej chwili, był znakomity uczonec a wcale nieosobliwy obywatel, Bogumił Linde, stojący właśnie teraz, jako prezes dyrygujący, na czele gminy ewangelickiej warszawskiej.

12 marca 1831 r. do Komisji spraw wewnętrznych, przy udziale Komisji wyznań, zaproszony został na poufną naradę Konsystorz Generalny *in gremio*, z prezesem Lindem i pierwszym pastorem Karolem Laubem na czele. Okazano konsystorzowi otrzymane od władz prowincjonalnych doniesienie o niepożądanych objawach, dostrzeżonych w zachowaniu się części ludności ewangelickiej krajowej. Zarazem, z uwagi zwłaszcza na stwierdzony błędny kierunek, nadawany w tym względzie przez niektórych pastorów swojej owczarni ewangelickiej, zalecono Konsystorzowi wydanie odpowiedniej, w duchu obywatelskim oświecającej odezwy okólnej do całego w kraju duchowieństwa ewangelickiego. Po pewnej jeszcze odwołce, spowodowanej, jak się zdaje, niejakimi wybiegami ze strony Lindego, dzięki przeważnemu wpływowi zacniejszych przedstawicieli gminy luterskiej warszawskiej, odezwa taka w drugiej połowie marca t. r. w rzeczy samej wydana została.

„Smutne od władz rządowych Królestwa Polskiego wiadomości dochodzą,—głosiła ta odezwa okólna 21 marca 1831 r., wystosowana przez Konsystorz Generalny Ewangelicki warszawski do wszystkich ks. ks. pastorów Królestwa Polskiego,—że koloniści ewangelicy w wielu miejscach tego kraju, nie pamiętni na dobrodziejstwa, dotąd w nim doznane, a jeszcze mniej na obowiązki, które Ewangelia święta na nich wkłada, okazują zbrodniczą nieprzychylność dla teraźniejszego stanu Narodu polskiego i nie tylko wzbraniają się wykonać przysięgę wierności Ojczyźnie i Narodowi polskiemu,... lecz nawet ośmielają się przeciw władzom swoim z bronią w ręku występować, ukrywają się po lasach, napadają wsi, szydzą się publicznie z (działań) Narodu polskiego... Postępowanie takowe albo z nieprzejęcia się świętą i wspólną każdemu wyznaniu sprawą, albo z sumienności źle zrozumianej pochodzące, najsmutniejsze skutki... dla ogółu wyznawców ewangelickich za sobą pociągnąć musi. Z tej to przyczyny Konsystorz Generalny Ewangelicki zaklina W. J. ks. pastora na miłość Boską i świętą Ewangelię, i pod utratą posady, jako niegodnego piastowania urzędu nauczyciela publicznego, aby zaraz po otrzymaniu niniejszego wezwania miał naukę do ludu zgromadzonego, wystawiając mu obowiązki najświętsze, nie tylko względem Ojczyzny, wspólnej naszej Matki, która ich



POD STOCZKIEM

JAN ROSEN

z prawdziwą przychylnością braterstwa przyjęła i dotąd utrzymywała, dogadzając hojnie wszystkim ich potrzebom, tak cielesnym, jak duchowym, która ich odziewała i żywiła, i której są winni dobre ich mienie, lecz też względem Rządu krajowego, gdy wiara, którą wyznawają, wyraźnie im to nakazuje”.

Powołując w tem miejscu odpowiedni ustęp apostolski listu do Rzymian (rozdział XIII, werset 1—5), który później, jak wiadomo, potylekroć we wręcz przeciwnej intencji powoływany bywał, — konkludowała odezwa konsystorska: „Nauka ta ewangeliczna jest tak jawną i do położenia terażniejszego mieszkańców kraju ewangelickich tak dobrze może być zastosowaną, że Konsystorz Generalny Ewangelicki przypuścić nie może, aby nie miała mieć wpływu zbawionego na umysł słuchaczy, ... zwłaszcza, kiedy opowiadacz słowa Bożego miłością Ojczyzny, i świętością powołania nauczyciela ewangelickiego jest przejętym i nie staje się, jak jest narzekanie i podejrzenie, powodem uporu swych parafian. Raportu odebrania niniejszej ekspedycji, z dołączeniem kazania, w duchu wyżej wyrażonym mianego, Konsystorz Generalny Ewangelicki do końca tego miesiąca oczekiwać będzie”.

Poprzestać można na razie na kilku szczegółach powyższych. Są one godne zastanowienia nie z samego historycznego tylko stanowiska. Chodzi tu o jeden przykład niewyjątkowych, niestety, zatargów, jakie w dobie nowożytnej, rozlicznymi czasy i wśród rozmaitych okoliczności, wytwarzały się pomiędzy krajem tutejszym a pewną częścią zamieszkałą w nim ludności ewangelickiej. Należy tuszyć, że te zatargi szkodliwe, niezmiernie dla obu stron szkodliwe, w miarę postępu stosunków i pojęć, — chociażby w imię niektórych prawd oczywistych, wyrażonych w odezwie konsystorskiej 1831 r., — do niepowrotnej przejdą przeszłości.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI:

Generał Józef Dwernicki.

Nie dorównywał wiedzą militarną Bemowi ani Chrzanowskiemu, przyćmiewał go blaskiem oręża Dembiński, był bardziej z pocztu ludzi skromnych niż świętych, a jednak nikt na Emigracyi nie zażywał takiej wielkiej popularności, nikt takiego dla błędów i wad swoich nie znalazł pobłażania. A potrzebował pobłażania generał Dwernicki. Przecież to on pierwszy w 1831 r. przeszedł granicę austriacką i broń złożył. W owym czasie gorącym, kiedy o sąd chłodny było najtrudniej, opinia publiczna, nie wchodząc w konieczności strategiczne, przekleżały każdego innego, na miejscu Dwernickiego będącego generała; jemu pobłażano, broniła nawet. Zresztą wódz zdolny wyprowadziłby podobno korpus swój z matni, ale ułanem nie hetmanem był generał Dwernicki. Żaden z wodzów polskich tak, jak on, z pałaszem w garści na czele kawalerii w bój nie leciał, żaden tak, jak on, z żołnierzami się nie kumał, żaden wreszcie tak prędko nie stawał do apelu, gdy trębacz Polski pobudkę zagrali.

Polska kochała zawsze ułanów i w ułańską poczciwość bardziej, niż w hetmańską, wierzyła. Więc gdy Dwernicki coś spłatał, wiedziała, że głowa nie serce zawiodło, przywodziła na pamięć rok 1806, 9 i 12, przywodziła na pamięć, jak w 1826 przeznaczony do eskortowania więźniów politycznych, na rozkaz rozdania żołnierzom ostrych nabołów odpowiedział, że wątpi, aby ich żołnierz przeciwko ludowi chciał użyć. Wiadomo, że z powodu tych słów (był wówczas generałem brygady) musiał służbę wojskową opuścić.

Ułan, to ułan! To nie posępny rycerz krzyżowy z mieczem w jednej, a różańcem w drugiej ręce, amator kieliszka i burdy, włościanicy i biczowania, nie mogący się obejść po grzechu bez pokuty; to rycerz, lecący na śmierć, jak na wesele, ale i w życiu goniący za weselem. A cóż ludzie winni, że wesołość, jak Wenus z piany morskiej, z wina wy-

kwita, że, jak się chodzi w ładnym mundurze i na ładnym koniu siedzi, to się samemu kobietom w oczy wpada, że czasem przy biwaku, spekulując na lenistwo myśli swych kamratów, jakiś ladaco karty wyciągnie... Zresztą w dekalogu „nie graj w karty” nie powiedziano.

Dwernicki przyjechał do Francji w lipcu 1832 r. — w chwili rozprzężenia istniejących władz emigracyjnych i usiłowań wojskowej emigracji, zmierzających do uformowania władzy centralnej, potrzebom emigracji odpowiadającej. Jeszcze nie był w Paryżu, zatrzymał się w Lugdunie, a już Kamil Mochnacki Emigracyi mówi: jego na naszem czele postawić trzeba. Gdyby tego nie powiedział Kamil Mochnacki, powiedziałby kto inny — bo Dwernicki rządził sercami polskich żołnierzy, jemu więc najchętniej powierzali starunek o swoje dobro i pod jego chorągwią najbardziej ochoczo się kupili. Nikt przytem z szeregu mających pretensje do władzy wygnañców nie przypadał tak do usposobienia Emigracyi, jak Dwernicki. Był żołnierzem, a Emigracya w wielkiej swej części wojskową była, na swem czele przeto rada była widzieć człowieka szabli, nie pióra lub trybuny; był generałem, ale nie generałem, którego usta nie umiały odwyknąć od rozkazu, a rozkaz generalski coraz to mniej miał posłuchu wśród wojskowych, uważających się na Emigracyi za obywateli wolnych i mających prawo do stanowienia o sobie; był demokratą, demokratą wprawdzie bez doktryny, ale z poczucia i postępowania; miano w nim gwarancję, że nie tylko nie przyłoży ręki do rozproszenia Emigracyi przez tworzenie z niej legionów, któreby miały walczyć o sprawy obce, ale nawet zamiary, idące ku temu, pokrzyżuje i unicestwi. Jednym słowem, skoro Dwernicki na Emigracyę przybywał, jasnym było, że na jej czele stanie.

Dwernickiego, gdy się w Paryżu zjawił, przyjęto serdecznie, owacyjnie nawet, i już 18 września 1832 r. pełnomocnicy zakładów na zjeździe w Bourges wybrali nowy komitet, znany pod nazwą *Komitetu Narodowego Emigra-*

cyi polskiej, którego on na długi czas został prezesem, a powtarzające się wybory powszechne zawsze go na tem stanowisku zatrzymywały.

Już po zjeździe w Bourges, ale jeszcze przed uformowaniem się komitetu, którego egzystencja zaczyna się 25 października, 3 paźdź. 1832 r. ogłasza Dwernicki *Akt tułaczów polskich będących we Francji, objawiający niezmiennie ich postanowienie*, w którym skrytykowała się ideologia większości emigracyjnej i który był podwaliną politycznej wiary Emigracji. Akt w otworzonej na to specjalnej księdze podpisywano licznie — między innymi podpisami znajduje się tam i podpis Lelewela. Kto pisał *Akt tułaczów polskich*, nie wiemy, mniejsza zresztą o to, gdyż jego autorem, z małym wyjątkiem stronnictwa Czartoryskiego, była Emigracja. Akt składa się z trzech oświadczeń. Pierwsze, że oręż polski w dniu 29 listopada został podniesiony „nie dla utrzymania zaręczeń wiedeńskiego traktatu”, ale dla połączenia w jedną całość polski z przed rozbiórów, gdyż Polak czuł, „że odrodzenie całej Polski da popęd postępowi i ulepszeniu socjalnego porządku Europy, że w niej rozwinięta i ukształta wolność, uwalniając ją od ciągłych zamachów despotyzmu”.

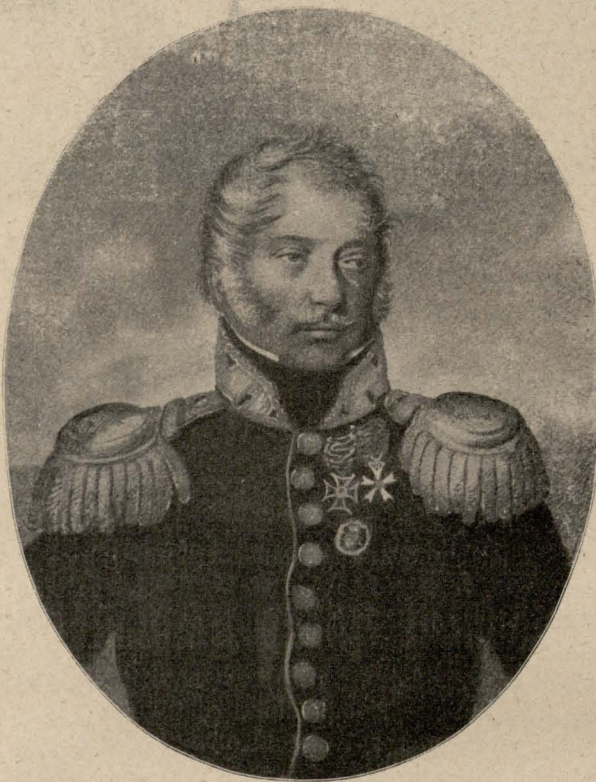
Oświadczenie drugie—przeciwko amnestyi, której emigranci postanawiają nie przyjmować; trzecie przeciwko legionom w obcej służbie. „Krew nasza całkiem i wyłącznie Ojczyźnie należy. Zadłużona nam jest dosyć Europa, abyśmy potrzebowali nowemi dla niej zasługami kupować jej braterstwo i przyjaźń *). Gotowi do wszelkiego boju przeciw cisnącemu Europę despotyzmowi, bo w takim boju i przyszłe odrodzenie widzieć będziemy, nie najmiemy się do obcej służby i nie będziemy należeć do żadnej walki, jeżeli nie będzie wiedziona w sprawie wolności europejskiej i w interesie naszej ojczyzny”. Walczyliby także wówczas, „gdyby Francja, na której ziemi doznają gościnności, zagrożoną była”. Komitet Dwernickiego w czasie swej działalności musiał mieć zawsze na uwadze *Akt tułaczów*, późniejsze zaś w różnych kwestjach wydawane odezwy będą w znacznej części rozwinięciem owego aktu. Odezwy wydał Komitet Narodowy Emigracji Polskiej bardzo dużo, w tem wiele znajdujemy odezw protestujących przeciwko temu, co się w Polsce dzieje, naturalnie słowa, nie znajdujące nigdy siły na swe poparcie—bez znaczenia.

Jako prezes Komitetu, Dwernicki rozwijał pozytywną działalność, polegającą na organizowaniu Emigracji, zainicjował w 1834 r. *Komisję funduszu Emigracji polskiej*, która zbierała podatek braterski na pomoc dla potrzebujących, później był jednym z założycieli szkoły polskiej w Paryżu.

Pierwszy okres emigracyjnych czynności generała mogliśmy zamknąć w 1836 r., t. j. gdy rząd francuski za podpisanie manifestu konfederacji kazał mu Paryż opuścić. Konfederacja Narodu polskiego ogłaszała, że celem jej jest spoić Polaków, rozproszonych po różnych częściach świata, dla przywrócenia niepodległości całej Polski, nadania wszystkim mieszkańcom Polski praw równego obywatelstwa i włościanom własności. Podpisani na pierwszym akcie 25 lutego 1836 r. konfederaci oświadczyli, że ci z nich, którzy mają posiadłości w Polsce, „własność taką włączyć bez wynagrodzenia nadają i to nadanie za obowiązujące ze swej strony uważają”. Na-

razie 36 emigrantów *Akt konfederacji* podpisało, z tych 30 mieszkających w Paryżu. Rząd z Paryża ich wydalili—większość zażądała wraz z Dwernickim paszportów do Anglii i udała się do Londynu. Tamtejszy Ogół londyński postawił Dwernickiego na czele swego komitetu (Komitet Ogółu Emigracji polskiej w Londynie), i Dwernicki zabiegał dalej około zjednoczenia całej Emigracji w Anglii i przewiezienia nawet całej Emigracji do Anglii, jako jedyne go kraju, dającego zupełną swobodę polityczną emigrantom—jak wiadomo, bez skutku.

Dwernicki na Emigrację przybył wdowcem,—żona mu umarła w 1831 r.—ale niebawem w 1834 ożenił się w Paryżu z ubogą jakąś Francuzką. Położenie materialne Dwernickich było ciężkie, pogrążeni byli w długach, jedną z przyczyn może była i hojność



Józef Dwernicki, generał dywizji. Miniatura z 1832 r.

generała. W 1840 r. powrócili Dwernicki do Paryża i zamieszkali na Rue de l'Odéon 35. Z tego czasu mamy list Dwernickiego do pułkownika Mikołaja Kamińskiego, w którym doskonale się malują kłopoty materialne bohatera z pod Stoczka *).

„Z łaski twego protégé do tego stopnia biedy jestem przywiedziony—pisze Dwernicki—że 1 b. m. (lipca 1841 r.) musiałem wyjść z Paryża i błąkać się po okolicach, zostawiając żonę w najkrytyczniejszych okolicznościach”. Podobno takie wycieczki generała na wieś francuską, aby zejść z oczu wierzycieli, nie były rzadkie.

Stosunek Dwernickiego do żołnierzy i młodszych rangą oficerów, pełen serdeczności i ciepła, gdy podkomendnymi jego byli, był taki sam na Emigracji. Zawsze zwraca się do nich, przemawia do nich, jak przyjaciel nie zwierzchnik. W zakładzie w Bourges przebywał oddany Dwernickiemu kapitan Jankowski, utrzymujący z nim ciągłą i stałą korespondencję. Oto wyjątki z listów Dwernickiego do Jankowskiego: **)

Grudzień 1832 r. „...Wkładam na ciebie obowiązek, abyś w moim imieniu oświadczył wszystkim żołnierzom i podoficerom w Bourges, że o ich losie myślę i do polepszenia ich bytu używam wszystkich środków. Niechaj będą zupełnie spokojni i z cierpliwością, oraz

z tym wielkim, heroicznym i żądnymi przeciwnościami nie zachwianym duchem wytrwałości, którego dali tyle dowodów, niechaj czekają wypadków, które prędzej czy później pomyślnym skutkiem wieńcząc nasze usiłowania, hołd ich cnotom oddadzą. Znasz mnie gruntownie, znasz mój sposób myślenia i obchodzenia się z podwładnymi, wiesz z doświadczenia, że nie tylko zwierzchnika ale i przyjaciela zawsze we mnie mieli. Uczucia takowe nie zmieniły się i nic onych zmienić nie może. Zapewnij ich więc, że w każdym zdarzeniu mogą na mnie rachować i z całą ufnością spuścić się na moje usiłowania. Wkrótce będę miał przyjemność odwiedzenia tych nieocenionych bohaterów, a teraz przesyłam im braterskie pozdrowienie”.

Łuty 1833 r. „Kochany Jankosiu, znowu się tu rozchodzą wiadomości o wyprawie naszych żołnierzy do Oporto, a nawet z takimi szczegółami, że podoficerowie i żołnierze już się oświadczyli, że są gotowi puścić się na tę ekspedycję. Lubo temu nie wierzę, jednak niespokojny jestem i dlatego naprzód żądam, abyś mnie jak najspieszniej zawiadomił, czyli jest jakie podobieństwo, aby żołnierze przechylili się do tej zgubnej propozycji i kto takową poważył im się robić, a potem wkładam na ciebie obowiązek, abyś wszelkimi siłami starał się przeszkodzić temu złemu, jeśli tak jest istotnie. Trzeba im przypomnieć, że, tyle dawszy dowodów wytrwałości, i temu szkodliwemu zamiarowi oprzeć się powinni. Nakoniec, jeżeli ja potrafiłem na ich zaufanie zasłużyć, niechże bez zasięgnięcia ode mnie rady nie słuchają niczyjej namowy” i t. d.

Pobył Dwernickiego na obczyźnie trwał do roku 1848, w którym to roku, sądząc, że wypadki w kraju potrzebować go będą, do Lwowa się udał. Z tego pewnie względu odrzucił propozycję prowizorycznego rządu medyolańskiego wejścia pod chorągiew włoską. Pańska sława (*haute renommée*) i pańskie znane pryncypia zwróciły na pana uwagę rządu, który chciałby widzieć pana pod chorągiewami i chciałby go użyć w swej armii w stopniu zaszczytnym, odpowiadającym mu, z korzyściami doń przywiązanimi—pisał do Dwernickiego rząd medyolański 31 marca 1848 r. *), na co Dwernicki odpowiedział, że niepodległość ludów była zawsze jego pragnieniem gorącym, ale obowiązki względem własnej ojczyzny nie pozwalają mu propozycji rządu medyolańskiego przyjąć. Raz jeszcze chciałby krew za wolność Polski przelewać; dziś ona doń ręce wyciąga i wzywa na pomoc. **)

Dwernicki wyjechał w kwietniu do Galicji—przez Wiedeń. W Wiedniu cieszył się z kocię muzyki, którą figurom rządowym akademicy urządzali, przyjmował wizyty Galicyan w deputacjach przybyłych do Wiednia, był najlepszej myśli. „Słowem—jest to raj ziemski i wolność, jakiej nigdy nie było”—pisał 31 lipca 1848 r. z Wiednia do kolegów swoich w komitecie.

Niejedna nadzieja zawiodła generała. Już na czele powstańców stanąć mu nie przyjdzie, ani do Francji nie wróci. Pozostał w Galicji, pamiętniki pisał, raz jeszcze o konieczności, która go zmusiła do przejścia granicy austriackiej w 1831 r., się rozwodząc. Widać, że tkwiło mu to wspomnienie cierniem w sercu i ciernia wyrwać nie mógł.

Życ'a Dwernicki dokonał starcem 78-letnim w majątku ks. Adama Zamoyskiego w Łopatynie w Złoczowskiem, w r. 1857.

*) Myśl wyrażona przez Mochnackiego w artykule: O charakterze Emigracji.

*) Oryg. bibl. polska w Paryżu.

**) Ibid.

*) Oryg. bibl. polska w Paryżu.

**) Ibid.



PORTRETY RODZINY

DANIEL JERZY SCHULTZ, Gdańszczanin (XVII w.)

TAJEMNICZY OBRAZ.

W ostatnich miesiącach roku zeszłego redakcja rosyjskiego miesięcznika artystycznego *Staryje Gody* w Petersburgu urządziła wystawę obrazów mistrzów dawnych, będących w posiadaniu prywatnych zbieraczy petersburskich i niektórych pałaców cesarskich. Zebrano prawie 500 płócien wielce wartościowych, a wśród nich cały szereg utworów pędzla wprost pierwszorzędnego i mało znanych. Wystawa przeto dla amatorów i badaczy sztuki była zjawiskiem niepoślednim, nawet na miarę europejską. Niestety, mimo ogromu pracy włożonej w przygotowania i wbrew osiągniętym świetnym rezultatom, wystawa dla publiczności zupełnie nie została otwarta. Na tle zadraśniętej miłości własnej wrogiemu obozu rozpoczęła się akcja przeciwko wystawie, i pod pozorem drobnostkowych przepisów przeciwpożarnych, przestrzeganych z nieubłaganą surowością, atak się powiódł. Wystawę wypadło zlikwidować, i tylko wtajemniczonym w tę intrygę udało się oglądać zebrane z takim mozolem skarby sztuki przy pomocy ręcznych latarń elektrycznych.

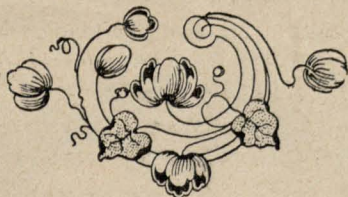
W oddziale malowideł holenderskich tej niedoszłej wystawy skupiał na sobie uwagę powszechną dużych rozmiarów portret rodzinny nieznanego autora, którego odbitkę tu podajemy. Natężony, a zarazem spokojny koloryt, mistrzowskie ujęcie formy i rysunku, dekoracyjnie wielce umiejętna kompozycja, a nade wszystko wyjątkowo silna charakterystyka figur—wszystko to kazało się domyślać mistrza wytrawnego. Nadmiar bardzo ciekawiały wybitnie mongolskie typy całej grupy przy wyraźnie polskich ubiorach, a ta domieszka intrygującego egzotyizmu portret nasz jeszcze bardziej uczyniła jednym z niewątpliwych „clous” całej wystawy. Umieszczono go wśród Holendrów wieku XVII, gdyż najbardziej do ich sztuki zdawał się być zbliżony, a niewyraźny podpis—litera D. i coś w rodzaju „Hulst” wraz z datą 1654—niby też wskazywał na pochodzenie holenderskie.

Historyk sztuki, baron Mikołaj Wrangel, któ-

ry we wspomnianem czasopiśmie *Staryje Gody* umieścił obszernie studium o szkołach holenderskiej i flamandzkiej na wystawie, wypowiedział zdanie, że portret wielce przypomina rodzaj malowideł Jana Victors z jego drugiej epoki, t. j. od 1660—1680 r., gdy do sztuki holenderskiej zaczęły przenikać wpływy flamandzkie.

Kiedy jednak później płótno z rami wyjęto, podpis odrazu z łatwością się dał odczytać; głosił—Daniel Schultz. Dzięki temu nazwisku obraz nabiera dla nas szczególnego znaczenia.

Daniel Jerzy Schultz, czyli Schulz, Schülze—jak wiadomo, w dawnych czasach rzadko przestrzegano ścisłości w pisowni nazwisk—był jednym z owych licznych artystów gdańskich wieku XVII, których twórczość ściśle związana jest z dziejami Rzeczypospolitej. Według Rastawieckiego, wizerunki królów polskich: Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III, pędzla Daniela Schultza, ongi wisiwały w ratuszu gdańskim, a w księgozbiornie znajdował się jego roboty portret astronoma, Jana Heweliusza. Poza tem Schultz sportretował cały szereg wybitnych statystów i dostojników polskich z wieku XVII, a portrety te, jak np. podobizny książąt Jana, Bogusława i Janusza Radziwiłłów, Jerzego Lubomirskiego i wielu innych, dobrze znane są ze sztychów W. Hondinsa i Jeremiasza Falka. O portrecie grupowym, prócz „Radców miasta Wrocławia”, Rastawiecki nie wspomina wśród prac mistrza gdańskiego, który zmarł w r. 1686. Oczywiście portret, o którym tu mowa, nie był znany autorowi „Słownika malarzów polskich”, czemu zresztą dziwić się nie można. Malowidło to bowiem już od drugiej połowy XVIII wieku znajduje się



w pałacu w Carskiem Siole i snąc rytowane przez któregośkolwiek z gdańskich rytowników nie było. Niestety, niema danych, skąd obraz się dostał do Petersburga i kogo właściwie przedstawia, a brak wyczerpującej historii malarstwa w Polsce, który tak często się daje odczuwać, i w danym razie ogromnie utrudnia odnośne poszukiwania.

W każdym razie jednak malowidło z Carskiego Sioła niewątpliwie pochodzi z ziem polskich, a nazwisko autora wraz z ubiorami przeważnie polskimi w dostatecznej mierze dowodzą, że i modeli portretu tu szukać należy. Data z 1654 zupełnie się zgadza z okresem, kiedy Daniel Schultz dwukrotnie wykonał portrety Jana Kazimierza i uwiecznił wyżej wymienionych Radziwiłłów oraz innych magnatów litewskich. Prawdopodobnie bawił w owym czasie na Litwie i przypuszczenie, że w jego obrazie mamy przed sobą jedną z rodzin tatarskich, osiadłych na Litwie, które uzyskały indygenat polski, chyba nie rozminie się z prawdą historyczną. Czy w istocie grupa ta stanowi rodzinę? Przemawia za tem, poza wspólnymi cechami rasowymi, znaczne podobieństwo rysów rodzinnych starszej siedzącej postaci i młodzieńców stojących, wśród których tylko sokolnik w bogatym stroju holenderskim i chłopczyk z małpką, na prawo od widza, wyróżniają się typem odmiennym. Zresztą nie kusimy się o rozstrzygnięcie tych wątpliwości, pozostawiając to zadanie historykowi, szczegółowo obeznanemu z całą epoką. Sądzimy, że dla takiego specjalisty byłoby to zadanie niezbyt trudne, boć chyba nie wiele było rodzin polsko-tatarskich, które się zdobyły na tego rodzaju portret reprezentacyjny, zamówiony u malarza królewskiego. Nadmiar spisy sokolników za Jana Kazimierza prawdopodobnie mogą rzucić pewne światło na figurę centralną obrazu Schultza.

Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby notatka niniejsza w jakimkolwiek kierunku mogła się przyczynić do wyświetlenia kwestii pochodzenia i treści płótna carskośielskiego, oraz odtworzenia dokumentalnego tła historycznego utworu Daniela Schultza, posiadającego tak wysoką wartość artystyczną.

PAWEŁ ETTINGER.

Miłosne macierzyństwo.

GEORGE SAND I SZOPEN *)

„Miała na sobie ładne pantofle żółte, eleganckie pończochy i majtki czerwone. Tyle co do strony moralnej. Pod względem fizycznym—podwójny podbródek, jak u kanonika. Nie ma ani jednego siwego włosa, mimo jej strasznych nieszczęść. Nie zmieniła się jej cera śniada, a piękne oczy są zawsze równie błyszczące. Ma zawsze równie głupią minę, kiedy myśli...”

Tak opisuje George Sand... Balzac w liście prywatnym. Było to w r. 1838. Znakomita powieściopisarka wkraczała w trzydziesty piąty rok życia. Szopen miał lat dwadzieścia siedem.

Poprzedniej wiosny pisała do Liszta: „Powiedz pan Szopenowi, żeby z panem przyszedł. Ubóstwiam go...” Towarzyszka Liszta, p. d'Agoult, tak określa Szopena: „Kaszle z niewymownym wdziękiem. Jest człowiekiem niezdecydowanym. Tylko kaszel jest u niego stały”. Czyż to nie okrucieństwo iście kobiece?

Szopenowi nie było pilno zbliżyć się z autorką „Lelii”; nie lubił kobiet piszących. To też właściwie ona go zdobywała i zdobyła. Stosunek ich był oparty na prawie kontrastu. Trafnie mówi o tem p. Doumic:

„Łatwo zrozumieć, z czego jej się podobał. Przedewszystkiem oddziaływały tu te same przyczyny, które sprawiały, że Szopen podobał się bardzo wszystkim kobietom. Ale wielki wpływ miało tak-



Szopen z modelu Wacława Szymanowskiego.

że zupełne przeciwieństwo ich usposobień. George Sand była mocna, ekspansywna, tryskająca życiem. On był dyskretny, zamknięty w sobie, tajemniczy. Podobno charakter polski polega na poddawaniu się, nie oddając się zupełnie nigdy. A o Szopenie mówili przyjaciele, że „był bardziej polski, niż Polska”. Ten kontrast był czynnikiem przyciągania. Dodajmy, że George Sand była bardzo wrażliwa na czar muzyki. A nade wszystko widziała w Szopenie typ „artysty”, takiego, jakim go sobie wyobrażała, marzyciela, zgubionego w obłokach, niezdolnego do żadnych czynności praktycznych „kochanka niemożliwości”. I w dodatku chorego. Przecież to ona, po wyjeździe Musseta, po szeregu strasznych nocy, spędzonych przy jego wezgiwaniu, pisała z Wenecji: „Kogóż teraz będę pielęgnowała?” W Szopenie miała kim się opiekować?”

Więc jadą na Majorcę—z całą rodziną, z dziećmi George Sand. Tam rozchodzi się wśród ludności wieść, że Szopen jest suchotnikiem. Dla niej jest to identyczne z zadżumionym. Około przybyszów tworzy się próżnia—pełna niechęci i nienawiści, kiedy się przekonano, że nie chodzą do kościoła. W Kartuznicy w Valdemosa zajmują celę, której dopalić nie można. O głodzie, chłódzie, pozbawieni elementarnych wygod, spędzają

parę miesięcy męczarni. Wycieczka romantyczna zmienia się w piekło—domowe i rodzinne.

Trzeba wyjechać. Chwałą Majorki jest trzoda chlewna—menu składa się z „wieprzowiny, szynki, słoniny, kiełbas—wszystko na smalcu”—bardzo, jak widzimy, urozmaicone. Statki, które stąd



George Sand, z portretu Charpentiera.

odchodzą, wiozą na eksport setki najtłuściejszych sztuk, na dodatek tylko—niechętnie—zabierają ludzi. W takim towarzystwie, chrząkającym, kwiczącym i brzydko pachnącym, odbywa chory powrotną podróż morską. I przybywa do Barcelony, plując krwią i zaledwie powłócząc nogami.

Taki był koniec idylli. Pozostało jeszcze przyzwyczajenie—potężne, skoro wśród kłótni i niesnasek trzymało jednak tych ludzi skutych ze sobą przez osiem lat. W warunkach zgoła nie romantycznych. Kochanek obok dorastających dzieci—położenie zawsze drażliwe. Uczestniczy w ich życiu, w waśniach domowych, aż następuje rozstanie.

A rezultaty artystyczne stosunku dwojga wielkich kochanków? P. René Doumic rozwiewa legendę o powstaniu preludium B moll na Majorce, w chwili tęsknoty i niepokoju. Co do George Sand, to wrażenia swoje streściła w opisie podróży „Un hiver à Majorque”, który jest aktem oskarżenia przeciwko mnichom, sprawcom wszelkiej niedoli karawany podróżniczej, bo to ich wpływ sfanatyzował mieszkańców.

Stosunkowi z Szopenem poświęcony został romans *Lucrezia Floriani*, gdzie pod postacią ks. Karola naszkicowana została postać genialnego muzyka. George Sand broniła się oczywiście przed zarzutem, jakoby to był portret. Ale współczesnych trudno było oszukać. Liszt wplata do życiorysumistrza kilka ustępów z romansu. A co najważniejsza, Szopen poznał siebie w ks. Karolu, a dowodem tego, że był rozgniewany.

Portret zresztą nie był niepoehlebny. „Słodki, wrażliwy, wykintny we wszystkim, posiadał jako piętnastoletni chłopiec wszystkie wdzięki wieku młodzieńczego, połączone z powagą dojrzałości. Pozostał delikatnym co do ciała, jak i co do umysłu. Ale ten brak rozwinięcia mięśniowego sprawił, że zachował urok piękności... Był on podobny do tych istot idealnych, którymi poezja średniowiecza zdobiła świątynie chrześcijańskie. Nic nie było bardziej czystego, a zarazem bardziej podniosłego, jak jego myśli... Zawsze zgubiony w marzeniach, nie miał zgoła zmysłu rzeczywistości”. Takim był ks. Karol.



A stosunek jego do „Lucrecii Floriani”, artystki w średnim wieku, był oparty na pierwiastku tym samym, co stosunek Szopena do George Sand: na „miłosnem macierzyństwie”, jak to nazywa p. René Doumic. „Jest to uczucie bardzo trudne do określenia—mówi—jak wszystko, co jest bardzo złożone. George Sand twierdzi, że jeżeli nie broniła się dopuszczeniu Szopena do poufałości, uczyniła to z obowiązku i przez zabezpieczenie. W „Histoire de ma vie” mówi: „Jeszcze jeden obowiązek w mem życiu tak zapełnionem i pełnem umęczenia wydał mi się jednym jeszcze środkami surowości, do której ciągnęło mnie jakieś uczucie, prawie entuzjastycznie religijne”. Sądźmy, że autorka łudzi się. Brać kochanka po to, aby nie mieć kochanka, wydaje się środkiem równie heroicznym, jak zawodnym. Przecież jednak w tym stosunku są pierwiastki inne, niż te, które pociągały George Sand do Musseta lub Michela...”

„Wszystko to prowadzi nas do przekonania, że macierzyństwo miłosne nie jest, jak to często mówiono, uczuciem antynaturalnem, albo przewrotnem, lecz raczej uczuciem, w którym jest dużo jeszcze mglistego instynktu i dziedziczności. Rousseau nazywał panią de Warens „mamusią”, ale był to człowiek, który odznaczał się niepospolitym brakiem smaku. George Sand opisywała często w swoich romansach ten rodzaj miłości, który w danym wypadku stosowała w praktyce. Jest tu ostatecznie coś niejasnego i poplątanego, co nas niemile uderza”.

W liczbie kochanków znakomitej autorki Szopen zajmuje miejsce między dwoma działaczami



George Sand w wieku lat osiemnastu (akwarela Blaize'a).

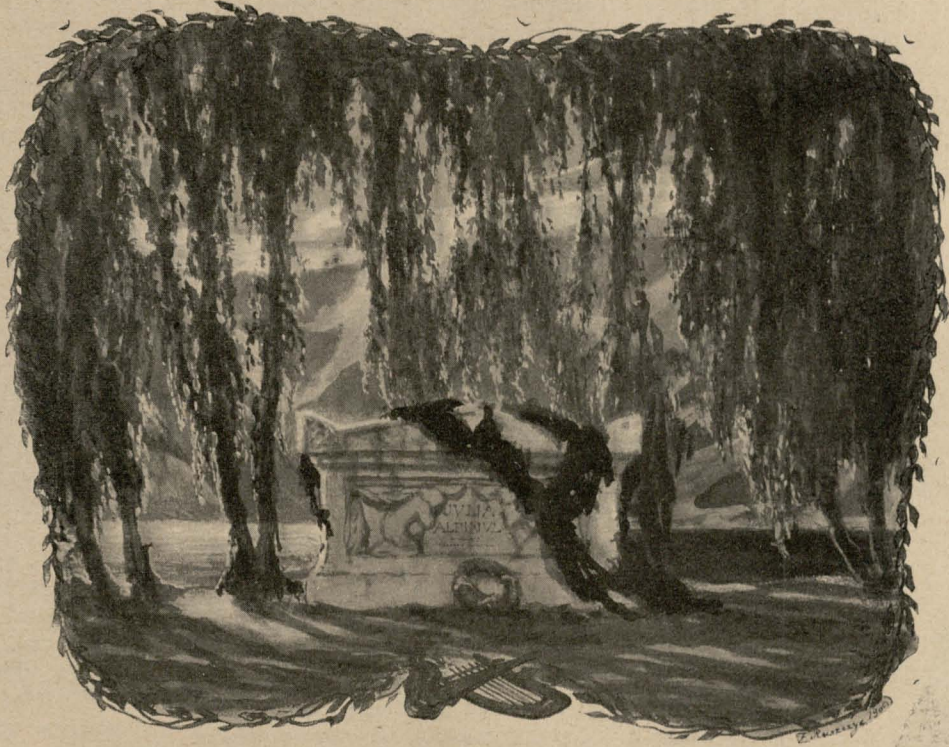
społecznymi: konspiratorem Michelem z Bourges a reformatorem i mętnym filozofem, Piotrem Leroux. Mocne instynkty erotyczne, które cechowały życie George Sand, były nie tylko wyrazem nieustannych wzlotów w krainę wyśnionego szczęścia i bolesnych upadków w dziedzinę zawodów, lecz były także dziełem dziedzicznych instynktów.

Aurora Dupin pochodziła w linii ojca z rodziny samych dzieci naturalnych, owoców miłości ukrytej. Pradziadem jej był Maurycy Saski, syn Augusta Mocnego i pięknej hr. Königsmarck. Babką—córka Maurycyego i aktorki, panny de Verrières, uznana później pod imieniem Maryi Aurory Saskiej. Wyszła ona za mąż za hr. Horna, syna naturalnego Ludwika XV, a po rozwodzie z nim za starego szlachcica Dupin de Francueil. Tak też brzmiały panienskie nazwisko George Sand. Ojciec był oficerem, a matka, przed zamążpójściem i po śmierci ojca, prowadziła życie nader swobodne, żeby nie powiedzieć więcej...

Takie były wpływy krwi antenatów. Dodajmy romantyczne, niespokojne poszukiwanie pełni szczęścia. Nie znalazła go—zapewne. Ale w koronie jej amantów spotykamy dwa klejnoty królewskie—Szopena i Musseta. Nie tylko własnym potężnym talentem i zdumiewającą pracowitością, bogactwem różnorodnych tematów świeci gwiazda George Sand: padają na nią i pożyczane blaski chwały dwóch wielkich kochanków. Wiele kochała i wiele cierpiała ta, która—mimo wszystko—była zawsze kobietą uczciwą i szanowną”. I dlatego wiele jej dziś przebacza—potomność.

*) Z powodu nowej książki René Doumice: „George Sand”, zawierającej ciekawe i nieznanne szczegóły o życiu i twórczości znakomitej powieściopisarki, między innymi zaś i o jej stosunku do Szopena.

GRÓB JULII ALPINULI

Rysunek oryginalny
FERDYNANDA RUSZCZYCA

Lilla Weneda w Wilnie.

Podniosłe i pięknie uczcił teatr wileński pamięć poety, który czeka na grób w ziemi rodzinnej. Naród nosi w sercu pieśń Juliuszową i naród między króle chce prochy wieszczą położyć. Wbrew kardynalskim purporem—położy!

A nim nastąpi wielki dzień powrotu kości, które, acz stłate i w próchno rozpadłe, tęsknią do ojczyzny, hołd pieśniarzowi oddawać będą grody jego ziemi, i wszędzie, gdzie polskie serce bije, stanie przedczyrma Polaka blady, ukochany, melancholijny cień...



Winieta afisza „Lilli Wenedy”. Rys. F. Ruszczyca.

gmach uniwersytecki, który widział smutne chłopię o palących czarnych źrenicach, więc owo Wilno Jagiellonów „Lillę Wenedę” obaczyło na scenie i górnie żyło przez wieczór czarowny potężną poezją bladego Julka, jak on żył górnie przez całe swoje życie.

Pani Młodziejowska, dyrektorka teatru, i artyści jej trupy uczynili rzecz piękną i patriotyczną. Poczuli się w sercu prawdziwymi artystami, i powiało ze sceny na tłum zebrany urokiem dzieła i pietyzmem wykonawców.

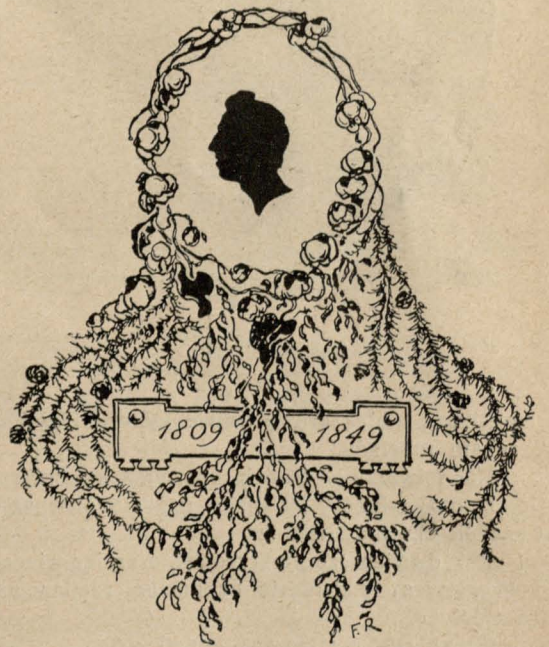
A znakomity malarz-poeta, Ferdynand Ruszczyca, sprawił, iż dotychczas żadna scena polska nie wystawiła tak „Lilli Wenedy”, jak teatr wileński. Wszystkie dekoracje, pod jego

kierunkiem lub przez niego samego malowane, odznaczały się nieporównaną pięknnością rzeczy prawdziwie artystycznych, oryginalnych w pomyśle, świetnych w wykonaniu.

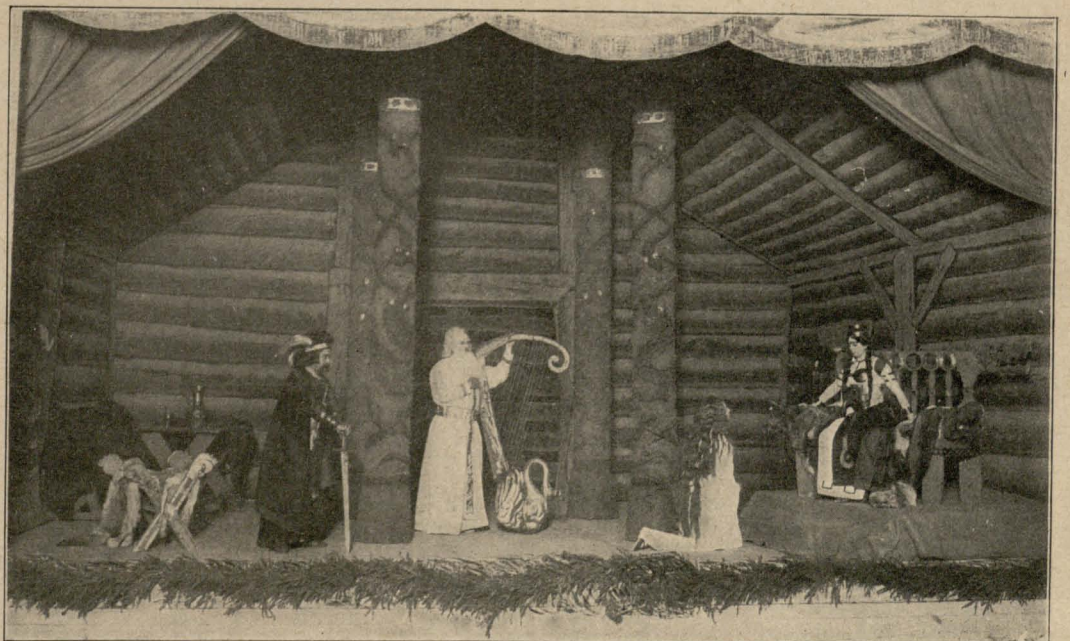
Podniosłą i dziwnie poetyczną była chwila, kiedy przy słowach listu Juliusza do autora „Irydyona”, tego cudownie pięknego listu, odczytanego przez jednego z artystów, ukazał się na scenie plastyczny grób Julii Alpinuli. Liście zielone zwieszały się nad grobem ze znanym napisem, a w oddali widniały śnieżyste szczyty gór alpejskich.

Zda się, duchy Juliusza i Zygmunta spłynęły w bratnim uścisku na ziemię...

Publiczność z zapartym oddechem dziękowała najwymowniejszym milczeniem.



Winieta afisza „Lilli Wenedy”. Rys. F. Ruszczyca.



Scena z „Lilli Wenedy”. Według kompozycji Ferd. Ruszczyca.

STARY SŁUGA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Szybko w życiu awansował, jak to czasem się wydarza, z pokojowca na lokaja, a z lokaja na pisarza.

Na pisarstwie, na prowencie niezbyt długo również siedział, do urzędu ekonoma coraz mniej-szy mając przedział.

Umiął czytać, pisać umiał i tabliczkę znał mnożenia...

Przytem sprawny w mig załatwiał dziedzicowe polecenia. U dziedziczki też był w łaskach, bo posładu nie żałował, a w dodatku w wolnych chwilach ryby łowił i polował.

Wszystko szło mu, jak po maśle!

Miał wikt dobry i opranie—tylko mu się nieco kniło w kawalerskim życia stanie...

Postanowił się ożenić.

I utrafił w myśl po sercu: z córką dworskiej gospodyni *wziął* i stanął na kobiercu!

Dostał za nią posag suty: prócz pościeli



Włódzki wiejski.

i mebelków, dojną krowę, dwie jałówki i w gotówce sto rubelków!

Na folwarku w dwóch stancyjkach zamieszkało stadło młode. Dziedzic dał mu ordynaryę i pozwolił chować... trzode.

Rok, dwa jeszcze praktykował, czerpiąc wiedzę i naukę, wreszcie dziedzic ekonomem zamianował Marka Włókę.

Teraz szło mu jeszcze lepiej!

Nosi kurtę bramowaną, na „wotywie” w ławkach siada i herbatę pije rano. W dzień powszedni po folwarku do zachodu drepce słońca... Odkrywają głowy ludzie, kiedy nadejść ma pan „rzońca”.

Z gospodarstwem jako tako daje sobie radę Włóka. Wprawdzie prochu nie wynajdzie, Ameryki nie odszuka, lecz na roli zna się niezłe: trzeba zorać, to zaozre, trzeba zasiać, to zasieje we właściwej zawsze porze.

Trzeba skarcić przy dziedzicu, to języka nie żałuje, trzeba chwalić, to pochwali, a dworować—to dworuje.

To też dziedzic rad z wyręki, lubi szczerze Włókę Marka. Często obaj na dyspozycyi klną na Żydów i Bismarka.

—Ceny niskie... Zboże spada...
To niemiecka wszystko sztuka!
—O! pewnikiem, jasnie panie!—
Dopowiada Marek Włóka!

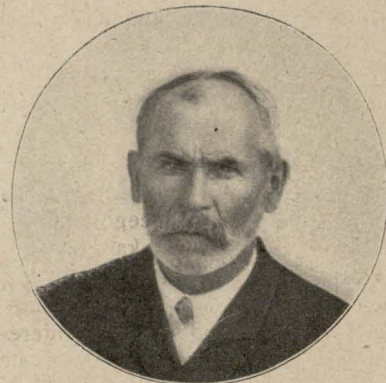
Tak bywało *illo tempore*.

Dziś typy z ekonomskich dworków o ganku na słupkach, w guście Marka Włóki, należą już do przeszłości.

„Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty!”
Dawniejsza wiedza „ekonomów”, zdobywana jeno praktyką, nie wystarcza, nie wystarcza służbistość, ani nawet wrodzone przywiązanie do ziemi.

W szeregu zapaśników w walce o zagon ojczyzny, o utrzymanie macierzystej skiby, dawnego ekonoma zlużował oficyalista rolny, człowiek wykształcony, z patentem szkoły agronomicznej.

Dawne Puławy, galicyjski Czernichów, Dubliny i zagraniczne instytucje agronomiczne, dostarczyły polskiej roli pracowników umiętnych, oddanych duszą i sercem zawodowi.



Ekonom starej daty.

wykształceniem. Armia rolna ma już dziś doskonałe kadry „podoficerskie”, które o zwycięstwie stanowią.

Maćkowie Włóki na wymarcu.

Ale i swego czasu śpiewak nie obwini!

Bywali między nimi ludzie dzielni, pracowici, zabiegliwi, bywali patryoci gorącego serca!

W historii rolnictwa polskiego i ci poczciwcy, widzący w każdym wojaku, choćby z czasów Paska, „napoleończyka”, upatrujący instynktownie wszystko złe w „niemieckich sztukach” i Bismarku, rubaszni a serdeczni mają swą kartę, swój wizerunek duchowy o rysach prostych a grubych, ale w większości czystych.

Zeszli z pola—bo zejść musieli, ustąpić miejsca młodym, bardziej odpowiednim czasowi siłom.

Ale i im rola polska coś zawdzięcza.

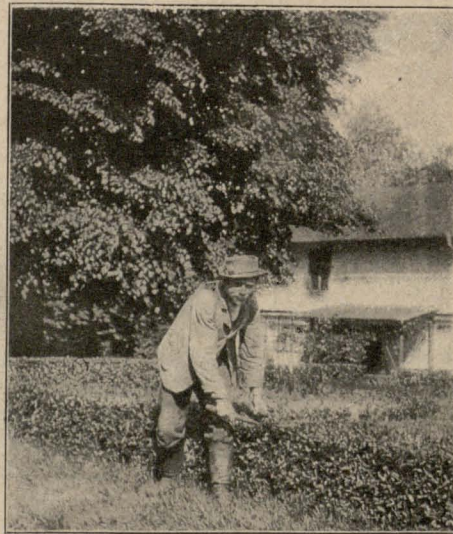
Należy im się dobre wspomnienie.

KAZ. LASKOWSKI.

TRAGEDYA WARSZAWY.

Kraków ma swój szeroko znany i popularny park Jordana, Lwów posiadał świeżo podobny park, przeznaczony wyłącznie dla zabaw ruchowych dla dzieci. A Warszawa?

Warszawa posiada piękną fundacyę s. p. Wilhelma Rau'a — *ogródki dziecięce*, które mają wszystko, oprócz przestrzeni. Z trudem zdobywszy dla siebie małe skrawki ziemi, instytucja ogródków Rau'a czyni co może wśród ciasnych murów miejskich dla rozwoju fizycznego dziatwy



Ogrodnik.

warszawskiej. Nie wiele jednak uczynić zdoła, bo nie rozsądzi pierścienia kamiennego, jaki ścisnął Warszawę, tworząc z niej miasto, najciaśniej zabudowane ze wszystkich wielkich miast Europy. Minimalna ilość ogródków publicznych i minimalna ilość placów, do tego bardzo szczupłych od czasu, gdy najobszerniejszy z nich, Saski, niegdyś przeznaczony na rewie wojsk polskich, wyłączony

został z użytkowania — uniemożliwiają ogródkom rozwój ich pożytecznej działalności. Dla miasta, które posiada w ogólnej liczbie swoich mieszkańców blisko połowę dzieci i młodzieży w wieku, wymagającym zabaw ruchowych na świeżem powietrzu, jest to tragedia, nie dość może oceniona dotychczas, ale i niewątpliwa w następstwach swoich fatalna.

Wskutek braku odpowiednich urządzeń, ogródków i boisk, gdzie zabawa mogłaby być połączona z ćwiczeniem pożytecznym, zaledwie nikły odsetek dzieci warszawskich zapisuje się do ogródków Rau'a. Nadto, wskutek niedość jeszcze posuniętej u nas demokratyzacji, oraz wskutek zbyt wielkich różnic kulturalnych i obyczajowych pomiędzy dziećmi rodziców ubogich a dziećmi rodziców zamożnych, co jest oplakany'm wynikiem nieunormowania u nas stosunków oświatowych, warstwy inteligentne nie chcą dzieci swoich posyłać na zabawy Rau'owskie. W ten sposób chłopcy i dziewczęta rodziców średnio zamożnych są bodaj w położeniu najgorszem, cały bowiem czas, wolny od zajęć, spędzają albo w domu, albo na bezcelowej włóczędce po ulicach miasta, gdzie grozi im przedwczesne zetknięcie się z niezdrową atmosferą życia. Szczególnie dotyczy to okresu wakacyjnego, który nie wszystkie dzieci i nie wszystka młodzież może spędzić na wsi.

Rozglądając się w tej sprawie szerzej i zastanawiając głębiej nad związanymi z nią skutkami, nie trudno dojść do przekonania, że park do zabaw jest jedną z najbardziej palących potrzeb Warszawy, potrzebą pilniejszą bodaj od tramwajów i oświetlenia elektrycznego.

Tymczasem miasto, które zadokumentowało wyraźnie brak w tym kierunku rozumnej inicjatywy przez kupno słynnych Młocin, jak najmniej zdaje się myśleć o tej sprawie.

Rozumiemy dobrze, że nabyć w obrębie miasta przestrzeń, odpowiednią pod taki park, nie jest łatwo, ale można w części przynajmniej zaradzić złemu na innej drodze. Oto bezużytecznie np. przez większą część lata stoi plac, dzierżawiony od okręgu wojskowego przez Towarzystwo wyścigów konnych. Czy dzieci warszawskie nie mogą tam grywać w *foot-bal*, w palanta, w tenisa i wogóle ćwiczyć się na tem polu zbiorowo w pewnych godzinach pod przewodnictwem fachowych kierowników zabaw?

Magistrat, o ile nie jest dla niego obojętna przyszłość Warszawy, powinien zdobyć się jak najrychlej na inicjatywę i na stanowczy a rychły krok w tej mierze. Inaczej zwyrodnienie fizyczne mieszkańców Warszawy będzie szło nieustannie naprzód.

Z. D.

ROZSTANIE.

Przyjdź do mnie czasem!...

Może kiedyś jeszcze

Obrócisz za mną w smutku łzawe oczy,
Gdy słodkich wspomnień nieuchwytnie dreszcze
Zbudzą cię ze snu... Może łza się stoczy
Z pod powiek twoich — cicha łza zachwytu —
I zginie złota w złotym blasku świtu.
Przyjdź do mnie czasem, o porannej zorzy,
Gdy żegnać będę noc bezsenną, bladą,
Gdy jasny błękit niebios się otworzy
Nade mną wkoło... Kiedy z snów zagładą
Iść będę smutny w dzień bezmierny, pusty —
Całującemi mnie błogostaw usty.
Przyjdź do mnie czasem, jak odległe echo
Przerwanej pieśni w cichym lesie sennym...
I tęskniącemu — słodką bądź pociechą,
I mocarzowi — ogniem bądź płomiennym,
W którym granitu złom się w proch
rozkruszy...
I duszą zostań wieczną mojej duszy...

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI.



Jan Kalwin.

W czterechsetną rocznicę.

Wielka historyczna rocznica przypada dziś właśnie. Cztery lata temu, w Noyon, w Pikardyi ujrzał światło dzienne Jan Kalwin.

Nie Genewczyk z urodzenia, w Genewie przecież osiadł jako dwudziestosiedmioletni młodzieniec i—po dwóch latach wygnany, niebawem jednak znowu przez społeczność genewską do reformy zaproszony—tu swoje surowe państwo ufundował, tu żelazną ręką przez blisko ćwierć wieku rządził.

Nie miejsce tutaj rozważać dogmatyczną stronę nauki Kalwina. Ale można i trzeba przypomnieć jej doniosłość społeczną i polityczną.

Centralnym punktem budowy kalwinizmu jest nauka o predestynacji, którą nieubłagany logik wyprowadzał z absolutnej wszechwładzy Boga w przeciwstawieniu do nieograniczonej grzeszności człowieka i jego zależności.

Zdawałoby się, że tego rodzaju twierdzenie pod względem społecznym prowadzić będzie do osłabienia energii i działalności wyznawców. Stało się zgoła inaczej. Bo uważali oni, że należą do wybranych, co trzeba było stwierdzać przez życie nienaganne i czyny wielkie.

Surowa, nieubłagana nauka, której obcym był wszelki pierwiastek łaski, wychowywała ludzi mocnych, niezłomnych, być może o horyzontach wąskich, ale o życiu bezwątpienia podniosłym. Takimi byli zawsze i są hugonoci francuscy, czy to

nieświadomie w krwawych walkach budujący wielką Francję Ludwików i Rewolucji, czy to zajmując dla sztandaru liliowego dzikie lasy Kanady, czy wreszcie świecąc dziś przykładem wzorowego życia prywatnego w rozpasanej Francji.

Ogniwem kościoła Kalwina jest gmina, a w niej rządzią cztery władze pastorów, doktorów, starszych i dyakonów. Celem gminy jest przeprowadzenie w państwie świeckim zasad pierwotnego kościoła apostołskiego.

Z przeniknięcia społeczeństwa świeckiego pierwiastkiem kościelnym wynikło wytworzenie przez predykanta genewskiego, występującego surowo a namiętnie przeciwko kościołowi katolickiemu, takiej teokracji, która zaledwie w marzeniach śnić się mogła jakiemuś Grzegorzowi VII, czy Bonifacemu VIII, wynikało dalej używanie w imię interesów religii ramienia świeckiego, w niczem nie ustępujące św. Inkwizycji, jakkolwiek w wynikach łagodniejsze, bo występujące na terytorium bardziej ograniczonym; wynika wreszcie tak bezwzględny rząd dusz, że dziś jeszcze, po paruset latach, surowi wyznawcy „kościoła wolnego” w Genewie, przechowujący najczystsza tradycję kalwinizmu, na rozrywki, teatr, taniec patrzą, jako na dzieło szatana.

Ale oparcie kościoła kalwińskiego na gminach wytworzyło historycznie najlepszy i najszerszy samorząd gminny szwajcarski. Z drugiej strony, przez wprowadzenie do władz pierwiastka wyborczego, ustaliło zasadę reprezentacji, co nie pozostało bez wielkiego wpływu na kształtowanie się ideałów politycznych. Nie darmo w walkach parlamentów z ostatnimi Ludwikami spostrzegamy w pierwszych szeregach bojowników hugonotów, których surowość nauki i podniosłość życia przeznaczały niejako do zawodu prawniczego i sądowego.

Z maleńkiego ogniska promieniował kalwinizm przede wszystkim na pograniczną Francję i tam najostrzejsze znosił prześladowania. Rzecz dziwna jednak, że poza tym najtrwalsze gniazda wytworzył—w dalekiej Polsce. Nie przyjęły się tu trwale ani nauki Husa, ani arianizmu, ani sąsiedniego luteranizmu, lecz właśnie „nowinki genewskie”. Tem dziwniejsza, że surowe te nauki w niczem, zdawałoby się, nie odpowiadają bujnemu charakterowi polskiemu. Być może tedy, że przyczyn szukać należy w potężnym wpływie możnowładców, jak przede wszystkim Radziwiłłów birżańskich i kiejańskich. A podczas gdy, jak Henryk IV, dla którego „Paryż wart był mszy”, ci potentaci, w imię różnych aliansów rodzinnych porzucili obce wyznanie, liczne rody szlacheckie wytrwały przy „nowinkach”. I dziś mamy na Litwie gminy reformowane, których członkowie świecą i gorącym patriotyzmem i przykładami pięknego życia.

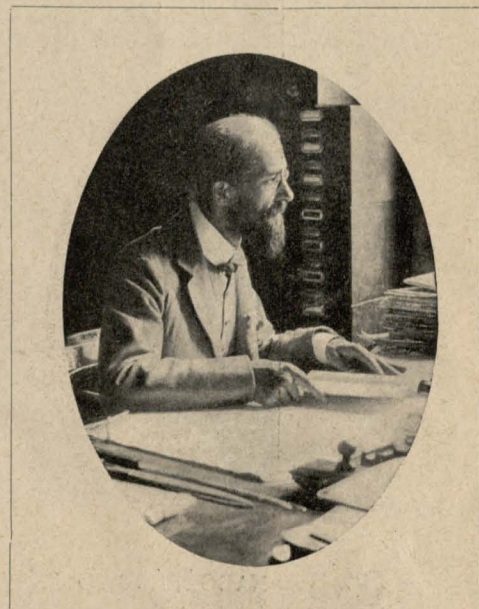
Obok Gustawów Adolfa i Cromwellów pozostaje Kalwin jedną z tych surowych, fanatycznych, potężnych postaci, których naukę oce-

niać można rozmaicie, zależnie od wyznania, czy filozofii indywidualnej, ale które zasługują bezwzględnie na uwagę i poszanowanie. Są to posągi ze spiżu wykute, stupy graniczne na nieskończonym szlaku historii.

L. W.

Na Śląsk, do Czech i na Morawy.

Centralny Wydział Kółek Rolniczych urządził wycieczkę włościan naszych na Śląsk austriacki, do Czech i na Morawy w celu zwiedzenia tamecznych doskonałych gospodarstw włościańskich. Wycieczka trwała dni dziesięć, od 3 do 13 z. m. Uczestników było 51 ze wszystkich okolic kraju. Z ramienia Wydziału centralnego przewodniczyli wycieczce pp. Stefan Jankowski, Włodzimierz Bzowski, instruktor rolniczy, Wacław Wagner i in-



Jarosław Rozwoda, pisarz czeński, znany przyjaciel Polaków; przebywał dłuższy czas w Warszawie, teraz zaś był przez kilka dni towarzyszem i przewodnikiem wycieczki Kółek Rolniczych.

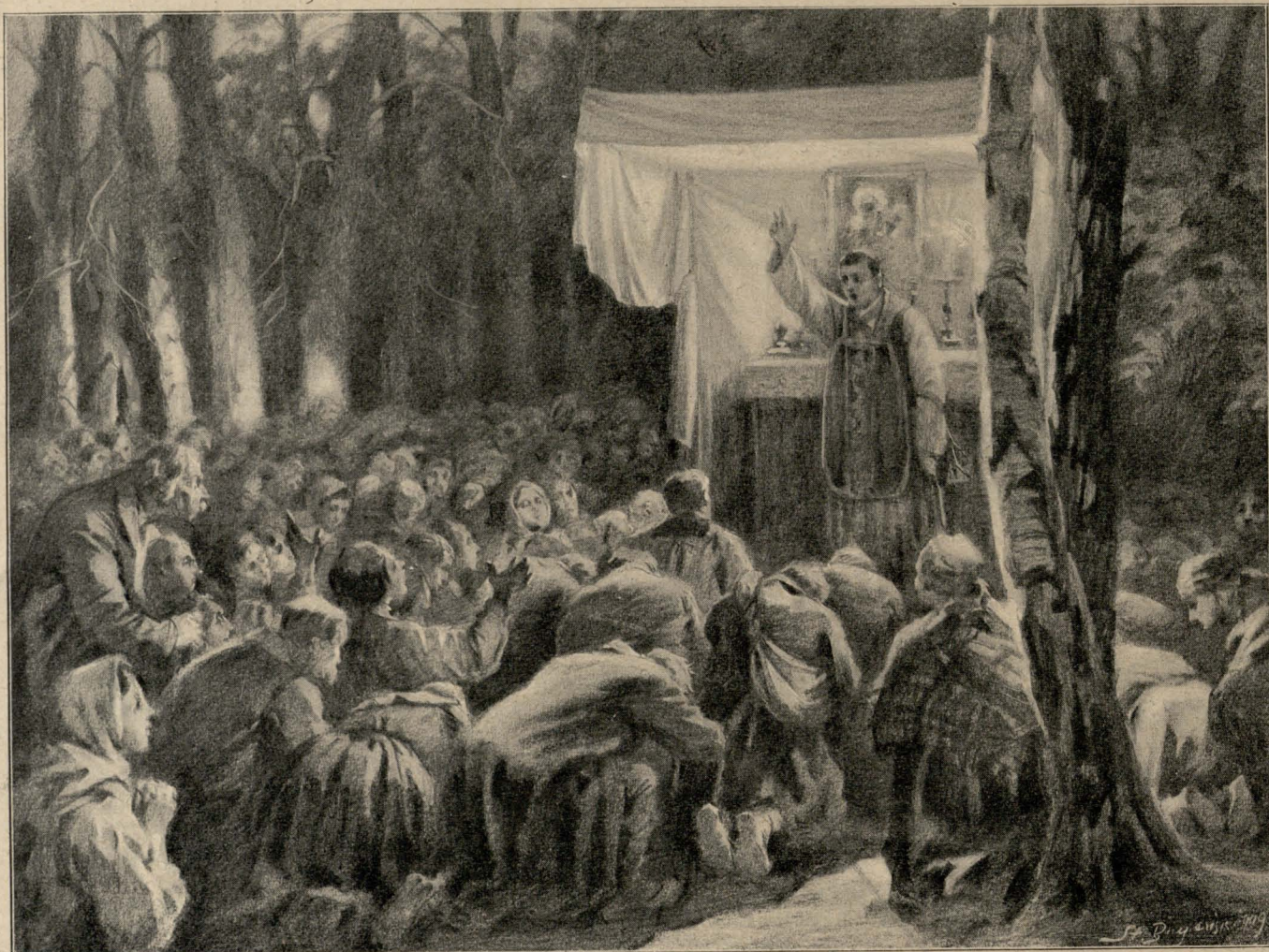
struktor mleczarski, Tomasz Gabryś. Uczestnicy byli z wycieczki niezmiernie zadowoleni. Wynieśli z niej, prócz wiadomości fachowych rolniczych, mocne wrażenie tego, co może zdziałać szeroko rozwinięta samopomoc na tle więcej rozwiniętej samodzielności ludowej. W tem tkwi główne znaczenie pedagogiczne ostatniej wycieczki. U nas lud jest zbyt przyzwyczajony do oglądania się na inne warstwy społeczne. Na Śląsku, w Czechach i na Morawach przekonali się nasi włościanie, co lud sam zdziałać może.



Uczestnicy wycieczki na Śląsku Cieszyńskim. Odjazd po zwiedzeniu gospodarstwa Zająca.



Grupa uczestników wycieczki, pochodzących z gub. lubelskiej i siedleckiej.



NABOŻEŃSTWO MISYJNE W LESIE NA UNII

STANISŁAW BAGIEŃSKI

WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

I. MISYA.

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawołał:

— Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misyi, a tak mi głęboko wryła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć o niej z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unii przed aktem tolerancyjnym.

„Wielkanoc owego roku wypadła w początkach kwietnia razem z prawosławną. Pamiętam, że w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękłe do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem znerwowany, bo zanosilo się na dłuższą pluchę, a tu, jakby na dobitkę, przychodzi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

— Co się stało? Widziałem ją jeszcze wczoraj przy wieczornym udoju.

— Zachorowała w nocy, leży prawie konająca!—mówił, trąc rękawem oczy.

— To idźciez do pani, może wam co pomoże.

— Kiedy się bojamy, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi grasowała ospa przez całą zimę.

— A może wam sprowadzić doktora? —proponuję mu bardzo seryo.

Jakby się zdumiał, aż gębę otworzył. Ale naraż rzucił mi się do nóg, całował mnie po rękach i bełkotał wystraszony:

— Dopraszam się tylko o księdza! Doktor nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka, zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie a chorobę zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze. Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czwórkę, bo do parafii mieliśmy cztery opętane mile i roztopami, ale gdy mijał czworaki, wydało mi się, że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karmiącą prosięta. Powstałem na nią, że w takiej chorobie wyłazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknawszy drzwi, powiada mi cicho do ucha:

— Musi jaśnie pan posłać po księdza z Panem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła z takim naciskiem i oczy jej tak błyszczały, że byłem pewny, iż majaczy.

— Ja zdrowa jestem, chwala Bogu! — odpowiedziała.—Ale tylko do mnie można wezwać księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katoliczka.

— A któż chory? — zaczynałem rozumieć ten podstęp.

— Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne, to

księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają to cztery niewinne dusze pozostać bez świętych Sakramentów? Od tygodnia się męczą, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza! Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą, Pan Jezus daruje mi to cygaństwo, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesą na ten czas do izby i wypowiadają się. Strażniki ani się domyślą.

— Chcecie ospę przywlec do chałupy! —krzyknąłem na nią.

— Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie!—odparła poważnie.

— Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać!—tłómaczyłem.

— To już trudno. Może Jezus w czem innym okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nieszczęśnikom trzeba poınagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych!—dodała z taką mocą, że dałem spokój perswazyom i konie wysłałem.

O zmierzchu przywlekli chorych do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowalowa powtykała im w garście pozapalane gromnice, przyklęła w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli nieruchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zaniósł jakiej religijnej pociechy „uporstwujuszczym.”



Procesja Bożego Ciała w Chelmie.

Węszyli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywęszyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszyscy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem, umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

Gorzko zapłacała za swoje miłosierdzie, ale przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powieździała do mojej żony:

— Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatraty!

Otóż wkrótce po odjeździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelaryi, a tylko co zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajął mi z bliska w twarz i szepnął:

— Jutro w nocy misya!

— Gdzie?

— W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

— Skąd jesteście? — spytałem go mimowoli.

— Z całego świata! — odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

— Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią — rzekł jakimś biblijnym tonem.

— A czy mogę zabrać żonę na misję?

— Za daleka droga dla dziewczki. A przytem kobiecie łatwiej umrzeć, niżli do-

chować sekretu. — Zabierał się do odejścia.

— Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

— Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną spieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

— Ale proboszcz będzie na misyi?

— To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafialny propinator!

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalską, mocną szkapę i pojechałem. Przed karczmą stał wóz zaprzęzony w siwka i siedziało dwóch

chłopów, a skrom dojechał i chciał wyminać, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy nogą za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orientować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, polśniwały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wznosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

— Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skreśli na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

(DCN)

DWA WIZERUNKI KOŚCIUSZKI.

Ze zbiorów artystycznych po zmarłym Mathiasie Bersohnie pochodzą dwa wizerunki Kościuszki na koniu. Jeden z nich, namalowany guaszem, oznaczony rokiem 1808 i monogramem artysty, jest dziełem Michała Stachowicza, uwydatniającem zalety i wady jego rysunku. Główną zaletą owego dzieła jest sportretowanie wodza z natury, w stroju, odtworzonym według wła-



Kościuszko (akwarela Stachowicza).

snej obserwacji artysty, który swego czasu do najbliższego otoczenia Kościuszki w kampanii 1794 r. należał.

Przeciwstawieniem owego wizerunku jest dzieło włosko-węgierskiego malarza batalisty, Franciszka Adama, autora scen z kampanii francusko-austriackiej roku 1859. Adam był synem malarza Alberta, bratem zaś Benona, których dzieła artystyczne w rysunkach koni bojowych przypominają żywo manierę Verneta. Wizerunek konny Kościuszki Adama z tego względu jest rzadkim, iż kamień litograficzny, na którym był odtworzony, pękł przypadkowo i pozwolił jedynie na zdjęcie paru kopii, z których jedna tutaj w reprodukcji jest przedstawioną.

AL. K.

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

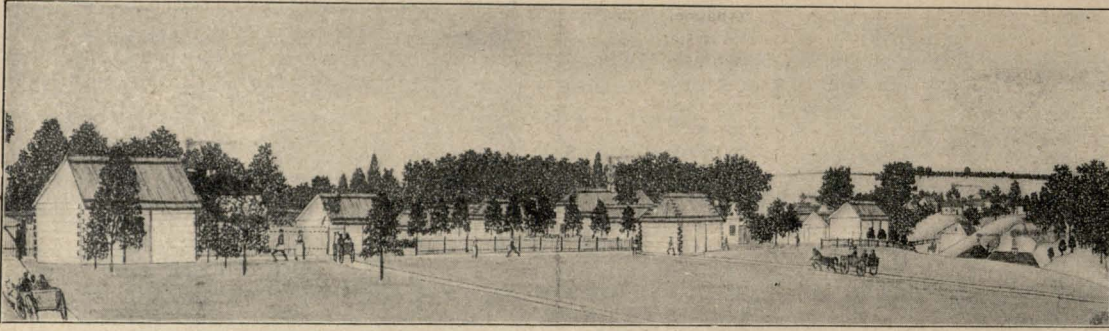
STANCE.

JAN MORÉAS.

Cóż róży pysznej w rozkwicie
Wichr, co rwie w płatkach jej życie?
Cóż orłu w locie do słońca
Grot, co go we krwi w dół strąca?
Cóż złotym strunom mej lutni
Szał, co je rwie najokrutniej?
I cóż ci jeszcze, me życie,
Że lot cię poniósł w rozbicie!?



Kościuszko (litografia Adama).



Wola Gałęzowska, wieś w okolicach Bychawy, w ziemi Lubelskiej. Rysował z natury włościanin, Feliks Walczak, który nigdy rysować się nie uczył.

Płomienie czy kwiaty?

„Płomienne kwiaty”—taki tytuł nosi najnowszy zbiorek poezji Zygmunta Różyckiego.*)

A więc—płomienie czy kwiaty?

Wprawdzie w pierwszym z cyklów, który dał tytuł całemu zbiorowi, czytamy kilka erotyków zmysłowych i dowiadujemy się, że autor pragnąłby mieć swą ukochaną „w objęciach chociaż przez noc jedną”, „wszczepić się ogniem



Zygmunt Różycki.

w jej bioder kształt miękkiej”, „chwycić ją w żelazne ramiona”, „w hymn rozkoszy przetopić ją całą”, „gdzieindziej znowu stawia ją w urodzie wyżej nad Afrodytę, Chryzys i Frynę i w czambuł „wszystkie nimfy i dryady”—ale czyż te erotyki właśnie stanowią zasadniczą treść zbioru poezji Różyckiego? czyż duszy poety i charakteru jego uzdolnień nie należy raczej szukać gdzieindziej: w lirykach spokojnych, beznamiętnych, gdzie smutek, tęsknota, melancholia spletają się w wieńce misterne rymów?

A więc—kwiaty, nie płomienie...

Jeżeliby zaś chodziło o wybór najodpowiedniejszego określenia rodzaju tych kwiatów, wyobraźnia nasza zatrzymałaby się nie na dzwoneczkach leśnych i skromnych bławatach, ale na egzotycznych storczykach i kaktusach o niezwykłych kształtach i barwach.

Tak jest. Bo wytworności formy nikt Różyckiemu odjąć nie zdoła. Dość przeczytać taki choćby wiersz, jak „Na złotej harfie kładę dłoń!”, z którego przytoczymy jedną tylko zwrotkę:

Na złotej harfie kładę dłoń...

O, harfo moja, dzwoni mi, dzwoni,
Ale nie tę ponurą pieśń,
Z której tchnie grobów rdzawa pleśń,
Lecz tę, co dźwięczy, gdyby śpiż,
Która prowadzi ducha wzywaj!

Różyckiego uczyli najlepsi mistrzowie: Mickiewicz, Słowacki, Asnyk, Tełmajer, od nich powziął on swą sztukę wierszowania. I—ostatecznie—nie

o to chodzi, jaka jest treść tych wierszy: pragnienie śmierci, czy pragnienie rozkoszy zmysłowej, bo główna rzecz w nich jest właśnie zewnętrzność poetycka.

Ego.

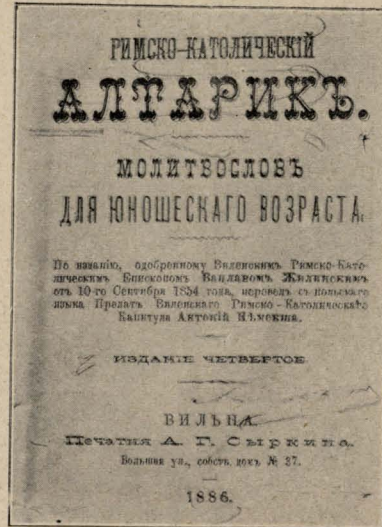
Modlitewniki katolickie po rosyjsku.

W roku 1906, na mocy dekretu Stolicy Apostolskiej, dozwolone zostało używanie języka rosyjskiego w nabożeństwie dodatkowym, w kazaniach, modlitwach i śpiewach kościelnych przez Rosyan wyznania rzymsko-katolickiego. Ten głośny w swoim czasie dekret papieski wywołał szereg komentarzy i uwag zarówno w prasie polskiej, jak i rosyjskiej, oraz odpowiednie wyjaśnienia kurii rzymskiej. Niebawem po ogłoszeniu wzmiankowanego dekretu w łonie duchowieństwa prawosławnego powstał zamiar wydania modlitewników katolickich w języku rosyjskim. Projekt ten, jak donoszą gazety rosyjskie, bliskim jest obecnie urzeczywistnienia.

Podobne próby wydawnictw religijnych katolickich po rosyjsku ujawniono na Litwie jeszcze przed laty kilkudziesięciu, podczas usilnej agitacji żywiołów ultrareakcyjnych za wprowadzeniem języka rosyjskiego do kościoła katolickiego. Oprócz szeregu podręczników do nauki religii, w r. 1869 z inicjatywy kuratora okręgu naukowego wileńskiego, generała Wrangla, wydano w Wilnie zbiorek modlitw, czyli t. zw. „Rimsko-katolickiej Altariki. Molitwosłow dla junoszekawo wzrosta.” Jest to prze-

kład polskiego modlitewnika, wydany w roku 1854 przez ks. Cierpińskiego i aprobowany przez ówczesnego biskupa wileńskiego, księdza Wacława Żylińskiego. Tłumaczenia na język rosyjski dokonał osławiony ksiądz Antoni Niemcewicz, dodał przytem od siebie kilka modlitw o charakterze ultralojalnym. Do „Altariki” dołączono „Zbiór czytań ewangelicznych na niedziele i dni świąteczne”; na odwrotnej stronie karty tytułowej, obok podpisu cenzora ksiąg duchownych, Mamertha de Fulstein

wiem błędy tamże popełnione okazują, że książka nie była poddana dokładnej rewizji władz duchownych katolickich. W swoim czasie „Altarika” energicznie,



Karta tytułowa „Altarika”.

wszakże bez powodzenia, rozpowszechniano wśród młodzieży szkolnej katolickiej na Litwie.

Kartę tytułową czwartego wydania tego osobliwego wydawnictwa religijno-politycznego wyobraża nasza rycina.

Zabawy w New-Yorku.

New-York bawi się i szaleje. Amerykanie nie szczędzą nigdy kosztów na dobrą i wesołą zabawę, czego dowodem olbrzymi park, urządony na przestrzeni 24 mił ang. nad oceanem Atlantyckim. Tramwajem dojeżdża tutaj z New-Yorku w nie-

Herburta, umieszczono uwagę: „Powyższe tłumaczenie czytań ewangelicznych badała ze szczególną starannością władza dycezyjna rzymsko-katolicka”. To z a r e c z e n i e o wierności przekładu nie jest ściśle, albo-
dzieli przeszło milion ludzi, gdzie za małą zapłatą można widzieć gry i widowiska, urządzone nakładem kilkunastu milionów dolarów. Stworzenie świata, wojna rosyjsko-japońska wśród najświetniejszych efektów świetlnych, z zastosowaniem ostatnich wynalazków na polu techniki i hydrauliki, jazda do piekła wśród ognia, huku, dymu i grzmotów, należą do najprzyjemniejszych zabaw i uciech; jazda łodziąmi po równi pochyłej, jazda balonami, karuzelami elektrycznymi najdziwniejszych pomysłów z szaloną szybkością należy do rzeczy powszednich. W hipodromie, największym teatrze na świecie, wygodnie mieszczącym 10,000 ludzi, występuje na olbrzymiej scenie ptasi balet, tańczony przez 600 osób w prześlicznych, drogocennych kostymach. Miss Alden odbywa karkołomną podróż, jadąc w samochodzie po równi pochyłej, z ogromną szybkością, wywraca wraz z samochodem trzy koziołki w powietrzu i wśród kilkudziesięciu „ach!” spada wraz z samochodem z wysokości 20 m. na ziemię żywa, nie uszkodzona. Główną atrakcją jest walka balonów w powietrzu: floty balonów amerykańska jedzie w roku 1950 do Europy i bombarduje przerażony i ze snu zbudzony Berlin—i to tak pięknie i wiernie oddane, że chwilami ma się złudzenie rzeczywistości. Przedstawienia odbywają się przez rok cały z jednym programem, przy przepięknej widowni.

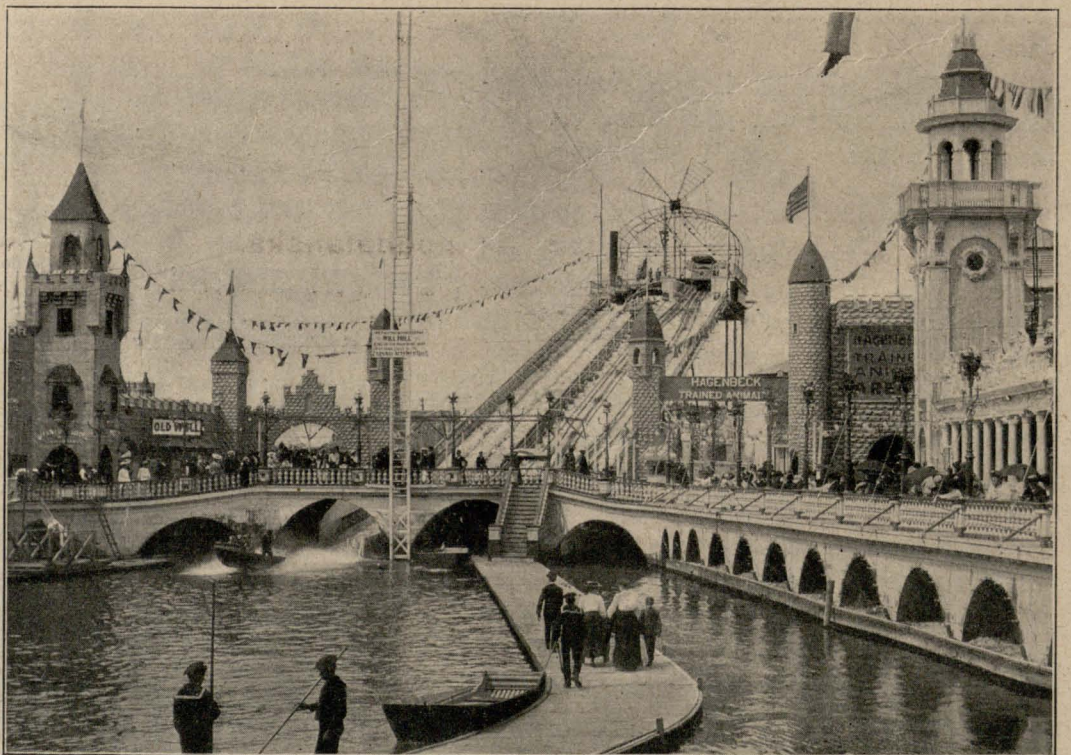
Popis szkoły

M. Sobolewskiej.

Doroczny zwyczajem odbył się niedawno w sali Ratuszowej popis uczennic szkoły M. Sobolewskiej, która, nie odstępując od raz przyjętej pedagogicznej metody, postawiła sobie to ważne zadanie kształcenia w śpiewie nie tylko pod względem czysto mechanicznym (to jest praca nad stawianiem głosu), ale też umuzykalnienie uczennic tak przez wykłady teoretyczne, jak zwłaszcza przez ćwiczenie we wszelkiego rodzaju zespołach. Na popisie usłyszeliśmy zatem prócz kilkunastu solistek, z pośród których wyróżniły się panie: Kinowska, Wilanowska, Rein, Krywicka, Rakowiecka, Olszewska i Atma (koloratura), zespoły solowe (duety i tercety) oraz chóralki. Z zespołów solowych opracowaniem i doбором głosów zaznaczyły się dodatkowo tercety: „Les Phalènes” Palicota (panie: Elbaum-Berland, Kinowska i Maliniak), Les trois belles demoiselles, pieśń z XV wieku (panie: Krywicka, Wiśniakowska i Maliniak) i duet z opery E. Lalo „Le roi d'Ys” (panie: Elbaum-Berland i Kinowska).

Z zespołów chóralki, prócz doskonale opracowanych pod względem artystycznym utworów Vittorii, Brahmsa i Moniuszki (ustęp z opery „Paria”), odśpiewaną została I-sza scena I-go aktu opery Henryka Melcera „Protesilas i Laodamia” (solo i chór żeński). Wykonanie tej prawdziwie natchnionej i silnej w wyrazie kompozycji (przy akompaniamencie autora, pod dyrekcją H. Opieńskiego) wychodziło pod względem artystycznym poza ramy szkolnego popisu i przyniosło zaszczyt tak solistce (panie Wilanowskiej), jak doskonale przygotowanym chórom.

H. P.



Zabawy w New-Yorku.

*) Zygmunt Różycki: „Płomienne kwiaty”, poezje, serya V, z portretem autora. „Nowości literackie”, tom XVI, Warszawa, księgarnia St. Sadowskiego, 1909.

JUBILEUSZ FRANCISZKA RAWITY-GAWROŃSKIEGO WE LWOWIE.



Jubilat w otoczeniu młodzieży i wybitnych uczestników obchodu. Obok niego stoi wiceprezydent Lwowa, dr. Rutowski. Na ziemi siedzą: Kasprowicz, Krechowicki i inni. W górze po prawej stronie plakietka pamiątkowa jubileuszu.

Portrety na dobie.

Towarzystwo Lekarskie warszawskie przyznało nagrodę im. Tytusa Chałubińskiego, przeznaczoną wedle brzmienia zapisu „za najlepszą pracę oryginalną z dziedziny nauk lekarskich, ogłoszoną drukiem w latach 1904 — 1908”, d-rowsi Stanisławowi Orłowskiemu za podręcznik p. t.:



Dr. Stanisław Orłowski.

„Cierpienia układu nerwowego: Choroby nerwów obwodowych i rdzenia”, wydany w r. 1906-ym nakładem Kasy Mianowskiego. Autor, po ukończeniu uniwersytetu w Moskwie w r. 1892 i doktoryzowaniu się tamże, został przedstawiony przez wydział medyczny na docenta chorób nerwowych i przez ministra Bogoliepowa nie zatwierdzony jedynie dlatego, że jest wyznania katolickiego. Po powrocie do Warszawy, dr. Orłowski został ordynatorem szpitala Jana Bożego. Prócz licznych prac lekarskich ogłosił drukiem ciekawą książkę p. t.: „Hypnotyzm i suggestya”, wydaną w r. 1902 w Bibliotece Dziel Wyborowych.

PRZEGLĄD PRASY.

Popularne pismo katolickie, *Dziennik Powszechny* wchodzi, pod umiejętną redakcją ks. H. Skimborowicza w nowy okres swego istnienia, wzbogacając treść i rozszerzając koło swoich współpracowników. Kierunek główny działu spraw religijnych obejmuje ks. prałat J. Gnatowski; kierownikiem działu literackiego został p. Ignacy Baliński, naukowego — p. Maryan Massonius; kroniki tygodniowe pisywać będzie Kazimierz Laskowski (*EL*). *Dziennik* odznaczył się już bardzo ciekawym artykułem Ignacego Balińskiego o prośbie kardynała Puzyny przeciwko pochowaniu Słowackiego na Wawelu — wystąpieniem tem znamiennejszem, że ukazało się w piśmie katolickiem.

Wiadomości Codzienne rozpoczynają druk niezmiernie ciekawej powieści Stanisława Osady z życia Polaków w Sta-

nach Zjednoczonych p. t. „Z pensylwańskiego piekła”. Na podniesienie zasługuje bardzo pożyteczny dodatek bezpłatny tego pisma, niezwykle starannie ułożona „Encyklopedia popularna ilustrowana”.

Pożyteczna placówka.

Zamknięcie roku szkolnego w Seminarjum nauczycielek ludowych A. Walickiej odbyło się uroczysto dnia 22 czerwca, w obecności gromadki osób, interesujących się żywymi wynikami pracy tej pożytecznej instytucji.

Nie będziemy przypominali jej dziejów, zaznaczymy jednakże, iż zasługuje na większą uwagę ogółu, chociażby z tego względu, iż dostarcza społeczeństwu może najpotrzebniejszych dzisiaj pracowników. Dowodem tego liczne zapotrzebowania na kończące seminarzystki. Byłoby jednak dla obu stron korzystniej, gdyby szersze koła zapragnęły poznać, jakiego materiału dostarcza wymienione seminarjum pod względem rozwoju i przygotowania naukowego.

Po sprawozdaniu z liczby i postępów słuchaczek, jedna z seminarzystek odczytała referat, w którym dała bardzo trafną charakterystykę ludu polskiego na podstawie utworów Reymonta, a w szczególności „Chłopów”. Resztę uroczystości dopełnił śpiew chóralny, deklamacja i gimnastyka, wykazująca wielką sprawność ruchów uczenic.

Podkreślić tu należy, iż przyszłe nauczycielki, mając w ciągu roku praktyczne zajęcia w szkole wzorowej, znajdujące się przy seminarjum, nabyły wprawy i umiejętności w kierowaniu dziećmi, a podczas popisu uczenice i uczniowie tejsze szkoły śpiewali, deklamowali i gimnastykowali się pod kierunkiem seminarzystek.

Krótkie to zetknięcie z przyszłymi kierowniczkami naszej szkoły ludowej sprawiło na słuchaczach najkorzystniejsze wrażenie, to też gorąco życzymy zakładowi najpomyślniejszego rozwoju i największej liczby uczenic. C. N.

Sztuka podhalańska.

Przed kilku miesiącami powstała wśród grona artystów, stale mieszkających w Zakopanem, myśl stworzenia organizacji, której zadaniem byłoby, opierając się na pracy wszystkich ludowych artystów podhalańskich i takich działaczy, jak Matlakowski, Witkiewicz i Moktowski, jak najszersze popieranie twórczości artystycznej we wszystkich kierunkach sztuki i pośredniczenie między artystami a wykonawcami. Jakkolwiek bowiem sztuka podhalańska ma już bogato zebrane materiały, jakkolwiek przed kilku laty zainteresowanie się społeczeństwa polskiego tak zwanym stylem zakopiańskim było bardzo wielkie, to jednak w ostatnich czasach prawdziwa twórczość w tym kierunku bardzo osłabła. Z wyjątkiem kilku jednostek ogół „tworzący” w stylu zakopiańskim zadowala się bezmyślną kompilacją najbanalniejszych motywów, „uszlachetnianą” często zagranicznym modernizmem. Zadaniem nowego Towarzystwa będzie popierać twórczość za pomocą konkursów i pośrednictwa w powierzaniu poważnych zadań w dziedzinie sztuki stosowanej artystom prawdziwie twórczym. Jeśli jeszcze zwrócimy uwagę na smut-

ny fakt, że przynajmniej połowa wyrobów, których rok rocznie tysiące gości w Zakopanem do całej Polski jako pamiątki wywożą, jest sprowadzana ze Szwajcaryi, to bardzo na dobie jest powstanie towarzystwa, którego celem jest zorganizowanie miejscowych rzeźbiarzy i bojkot wyrobów zagranicznych. Do zadań „Sztuki podhalańskiej” należy również otoczenie moralną opieką zabudowania Zakopanego, które w ostatnich czasach zgoła nie zakopiański zaczęło przybierać charakter. W samym Zakopanem niema ani jednego publicznego lokalu, którego wewnętrzne urządzenie byłoby utrzymane w charakterze miejscowego zdobnictwa, a wszędzie panoszy się niemiecka tandeta; stąd też celem młodego Towarzystwa jest wprowadzenie do fabrycznej produkcji tanich, swojskich i pięknych mebli zakopiańskich. Bardzo poważnym zadaniem „Sztuki podhalańskiej” będzie obudzenie tych gałęzi przemysłu artystycznego, które już dawniej na Podhalu istniały, tylko z czasem upadły, jak np. kilimiarstwo, wyrób metalowych sprzączek i spinek, i ceramika. W lecie bieżącego roku urządza Towarzystwo w Zakopanem retrospektywną wystawę sztuki podhalańskiej, wystawę, która będzie pouczającą demonstracją, co na tem polu zrobiono, a co jeszcze zrobić można i należy.

tez za pewniki, np. że bohaterką poematu „W Szwajcaryi” jest Marya Wodzińska, że „Anelli” powstał w klasztorze syryjskim Bet-chesz-ban. Pierwsza to, o ile wiemy, próba przekazania utworów Słowackiego, „strzechom” — i wcale poprawna.

Stanisław Cieszkowski. Aleksander I a konstytucya. „Nowości literackie”, tom X. Warszawa, 1909 r.

Praca niniejsza, oparta na materiałach, ogłoszonych przeważnie w ostatnich czasach, przedstawia genezę i rozwój projektów konstytucyjnych w Rosji w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. Cesarz Aleksander I, przejęty za młodu ideami liberalizmu i wolności, od wstąpienia swego na tron niejednokrotnie zamierzał dokonać przekształcenia Rosji w duchu konstytucyjno-federacyjnym. Myśl ta znalazła nawet wyraz w projekcie konstytucji, opracowanym przy udziale osławionego Nowosilcowa, najgorliwszego w następstwie prześladowcy wszelkich prądów liberalnych w państwie. Ostatecznie jednak wszystkie plany reformatorskie Aleksandra I obrócone zostały w niwecz pod wpływem ultra-reakcyjnych czynników w rządzie i zmiany w poglądach samego cesarza. Książeczka p. Cieszkowskiego wła-



Nowa tancerka bosonoga, występująca w „Nowościach” pod przybranym nazwiskiem Franciszki Beaty. Pod tym pseudonimem ukrywa się nazwisko, dobrze zapisane w dziejach naszej literatury dramatycznej. Franciszka Beata jest także śpiewaczką; prowadziła studia wokalne w konserwatorium w Moskwie.

Pokłosie wydawnicze.

Franciszek Pułaski. Dyalog Palinura z Charonem, utwór Pseudo-Lukiana w tłumaczeniu Biernata z Lublina, wydał i przedmową poprzedził.. Warszawa, 1909.

W wydawnictwie „Collectaneów Biblioteki Ordynacji hr. Krasieńskich” zamieścił p. Franciszek Pułaski odnaleziony w papierach po ś. p. Konstancym Świdzińskim nieznaną druk XVI w., ulamki (bez karty tytułowej, początku, końca i kilku kart środkowych) dyalogu Palinura z Charonem. W przedmowie wydawca podaje kilka pewników i kilka hipotez. Pewnikiem jest, że utwór ten pochodzi z pierwszej połowy XVI wieku, że nie jest oryginalny, że jest przekładem, a raczej przeróbką łacińskiego dyalogu, który w XV wieku wydał nieznaną nam humanista pod imieniem Lukiana z Samosaty, że wreszcie autor przeróbki polskiej wyjaskrawił te ustępy pierwowzoru, w których zawiera się krytyka możnych, pochwała stanu miernego, wogóle poglądy antioligarchiczne i ultra-demokratyczne. Hypotezy p. Pułaskiego sprowadzają się do tego, że tym Fourierem polskim z czasów Zygmunta Starego był nie kto inny, jeno pierwszy nasz bajkopisarz, tłumacz apologów ezopowych, które wydał p. t. „Żywot Ezopa Fryga, mędra obyczajnego, z przypowieściami jego”, Biernat, czyli Bernard z Lublina, mieszczanin, sługa domu Piłeckich, poprzednik Reja na polu literatury narodowej.

Dr. Konstanty Wojciechowski. W setną rocznicę urodzin, Juliusz Słowacki, żywot i wybór pism. Biblioteka Macierzy Polskiej Nr 45, Lwów, 1908.

Z niełatwego zadania popularyzacji pism Juliusza Słowackiego dla szerokiej warstw czytelnicy Galicyi dr. Wojciechowski wywiązał się umiejętnie. W „wyborze” zamieścił w całości te tylko utwory, które mogą być bez trudu zrozumiane: więc, prócz wierszy drobniejszych, „Jana Bieleckiego”, „Balladynę”, „Ojca żądźmionych”, „Rozmowę z matką Mokryną”. O innych podał wiadomość, streszczenia, ilustrowane wyjątkami, w przedmowie, która stanowi wcale udatną, jak na taki poziom, próbę charakterystyki autora „Lilli Wenedy”. Należałoby tylko unikać podawania hypo-

ściwym studium naukowem nie jest, posiada atoli wartość informacyjną dla pragnących zapoznać się z tą wielce doniosłą i niepozabawioną jeszcze aktualności kwestyą społeczno-polityczną.

Biblioteczka krajoznawcza. Ostatnie tomiki tego pożytecznego wydawnictwa zawierają popularne odczyty o Łodzi, Częstochowie i okolicach, opracowane przez L. de Verdmon Jacques. Oprócz treściwych informacji historycznych podane tu zostały wskazówki dla turystów z uwzględnieniem wiadomości o obecnym rozwoju Częstochowy i „polskiego Manchesteru”. Do każdego tomiku dołączono spis przezroczy nadających się do odczytu, oraz wskazówki dla urządzających wykłady i odczyty publiczne. Wydawnictwo „Biblioteczki krajoznawczej”, zainicjowane przez ruchliwe Towarzystwo krajoznawcze, przyczyni się niewątpliwie do rozbudzenia ruchu terytorjalnego w kraju naszym.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOZA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE wyrobu WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” ZAOPTARZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd.

Składy na Meble „SYRENA” Krak. Przedm. 38

Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewskiego. Żądać wszędzie.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne sprzedaj wszędy

Komes Bartłomiej.

W opisie „Zabytków przeszłości”, podarowanych instytucjom publicznym przez rodzinę nieodżałowanego Mathiasa Bersohna (Nr 16 *Tygodnika*), wyczytaliśmy następujące zdanie:

„Wielki portret z napisem: *Bartholomeus dux Masoviae*, przedstawiający zapisodawcę miasteczka Garbolewo na rzecz zakonników opactwa czerwińskiego w roku 1217... Dzieło nieznanego malarza z wieku XVII budzi zaciekawienie ze względu na zagadkową postać owego Bartłomieja, „księcia mazowieckiego”, dotychczas w genealogii b. władców Mazowsza nie wzmiankowanego” i t. d.

Słuszne to zaciekawienie możemy zaspokoić.

W Czerwińsku nad Wisłą już w XII stuleciu (jeśli nie wcześniej) osiedli byli kanonicy regularni lateraneńscy. Opactwo ich—jak powiada Boguchwał, biskup poznański z XIII wieku—założył i uposażył równie sławny, jak zagadkowy, dostojnik, Piotr Włast (*Monum. Pol.*, II, 250). Kronika zaś klasztorna (przez opata Mateusza Kraszewskiego w roku 1740 spisana) nadmienia, że miało się to stać w roku 1117.

Całkiem już pewną wiadomość o opactwie czerwińskim posiadamy z roku 1155. Papież Adريان IV zatwierdził wtedy uposażenie opactwa i w przywileju wyliczył należące do niego dobra. Otóż pomiędzy innymi dokument ten wymienia: „Garwolewo, które Bartłomiej *comes* z żoną i synem, dla okupienia duszy swojej, kościołowi świętej Maryi, z pobudki pobożności, darował i zapisem swoim utwierdził” („Kodeks dyplomat.” Ryszczewskiego, I, 8).

Klasztor czerwiński położył w średnich wiekach duże zasługi, jako krzewiciel wiary i cywilizacji chrześcijańskiej na Mazowszu. Z biegiem atoli czasu i ze zmianą warunków, znaczenie jego upadło. Zasłynął znowu od połowy wieku XVII, ale już z innego powodu. Opatem jego w roku 1633 został brat króla Władysława IV, Karol Ferdynand; był nim do roku 1641, poczem został biskupem płockim. W roku 1648 królewicz-biskup dopełnił ceremonii uznania cudownego obrazu N. P. Maryi w Czerwińsku.

Wtedy zapewne, dla przyozdobienia okrytego nową sławą klasztoru, wymalowano portrety jego fundatorów i dobrodziejów: Piotra Własta, biskupa płockiego Aleksandra, Bolesława Kędzierzawego, komesa Bartosza i t. d. Pochodzenie portretu Bartłomieja Mathias Bersohn określił na wiek XVII, a wysmieniony znawca pod tym względem chyba się nie omylił.

Malowidła czerwińskie spisał Wincenty Hipolit Gawarecki w *Przeglądzie Warszawskim* (1840 r., III, 286). Wymienia on pod Nr 5 portret z napisem: *Bartholomeus comes Masoviae villam Garwolevo donavit fratribus cervenensibus A. D. 1217*—za całe zaś objaśnienie dodał: „Portret Bartłomieja, hrabiego czyli księcia...”

Gawarecki, wielce zasłużony zbieraniem i ogłaszaniem przywilejów książąt mazowieckich, ale mało krytyczny, lubo znał przywilej papieża Adryana, nie dopatrywał się jego związku z portretem. Tymczasem, rzecz oczywista, że ów portret ma wyobrażać wymienionego w tym przywileju dobrodzieja, tylko że, zamiast r. 1217, należy czytać 1117 (domniemana data fundacji opactwa).

W r. 1217 ofiarodawca Garwolewa, zatwierdzonego w r. 1155, już dawno nie żył. Prawdopodobnie nie żył już w r. 1155, albowiem przywilej papieski tak się wyraża, jak gdyby Bartłomiej, umierając, za zgodą żony i syna, dobra kościołowi zapisał.

Obecnie na portrecie ma się znajdować tytuł: *dux Masoviae*; w r. 1840 było: *comes Masoviae*. Zmiana ta nastąpiła snadź przy jakiejś późniejszej, nieumiejętnej restauracji obrazu.

Komesa Gawarecki przetłumaczył przez „hrabia, czyli księżę”. Obadwa wykłady mylne. Już Joachim Lelewel stwierdził, że w wiekach średnich

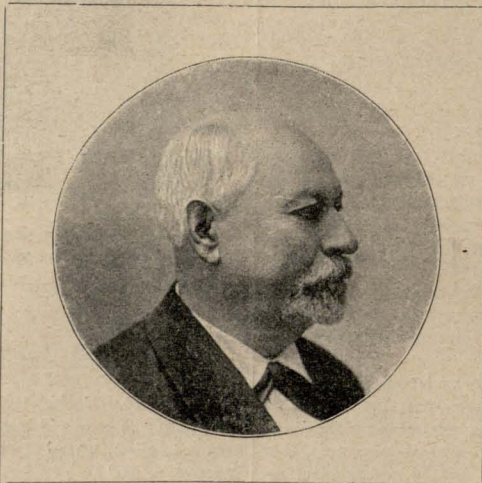
była to nazwa dworska, pałacowa, nie przywiązana do żadnego urzędu („Herbarz” Niesieckiego, Lipsk, I, 392—3). W XV w. Maciej z Rożana nagina pojęcie komesów do współczesnych sobie kasztelanii i tłumaczy je przez „grodozierze”; baczniejszy Świętosław z Wocieszyna tłumaczy po prostu: „pan”. Teraz, po ogłoszeniu mnóstwa dyplomatów piastowskich, wiemy dowodnie, że komes, czyli towarzysz (od *cum* i *eo*) oznaczał w średnich wiekach wogóle członka orszaku monarszego, przybocznego księżęcego, dworzanina. Taki komes mógł być jednocześnie urzędnikiem, ale wtedy zwano go: *comes oppidulis*, *comes palatinus*, *comes super provinciam*...

Czy i jaki urząd piastował Bartłomiej z Garwolewa, nie wiemy. Przywilej papieski nie objaśnia, a dodatek *Masoviae* pod portretem, jako pochodzący z XVII w., nie może być brany w rachubę.

Wieś Garwolewo należała w XVI w. do parafii czerwińskiej i mierzyła włók 18 („Źródła dziejowe”, XVI, 129, 303). Teraz nazywa się Gralewo.

Opactwo czerwińskie zniesiono w r. 1819. Książnicę jego włączono do biblioteki uniwersytetu królewskiego w Warszawie, więc podzieliła jej losy. Zbiór przywilejów opactwa, spisany w końcu XV stulecia, niezmiernie dla dziejów Mazowsza ważny, szczęśliwie uniknął wywiezienia i dostał się do biblioteki ordynacji zamojskiej, gdzie dotychczas napróżno oczekuje wydawcy. Malowidła klasztorne rozbiegły się kolejno po świecie. Niektóre z nich, ocalając od zagłady, nabył Mathias Bersohn, i dzięki temu, przyozdobił teraz zbiory publiczne.

WŁADYSŁAW KOROTYŃSKI.



Dr. Wacław Lasocki.

Jubileusz dobrze zasłużonego.

W kręgach inteligencji polskiej nie obce jest imię dra Lasockiego, który bogatą swą bibliotekę i zbiory zabytków ofiarował Muzeum krakowskiemu przed kilkoma laty. Ofiara ta jest częścią tylko jego zasług społecznych. A jak „*życiowiec człowieka poczciwego*”, tak nie mniej *życiowiec człowieka zasłużonego* domaga się głośniejszego słowa; świecąc bowiem przykładem dla innych, jest zachętą do naśladowania i przysparza krajowi dobrych obywateli.

Te słów kilka niechaj usprawiedliwią mię, że wiązkę wiadomości o drze Lasockim piszę za życia jego jeszcze;—a usprawiedliwią tem więcej, że powód do nich daje 50-letnia rocznica jubileuszowa zawodu jego lekarskiego i uczczenie jubilatą przez bliższych świadków działalności jego i zasług.

Dr. Wacław Lasocki, syn ziemian gubernii wołyńskiej urodził się w r. 1837 we wsi Bisówce, pow. ostrogskim. Lata dziecięce spędził w domu rodziców, w majątku ich pod Żytomierzem, a szkoły ukończył w Żytomierzu wcześniej bardzo, bo w 17 roku życia, poczem w r. 1854 wstąpił do uniwersytetu kijowskiego.

Po skończeniu uniwersytetu w r. 1859, dr. Lasocki przez lat 2 pełnił obowiązki asystenta

przy klinice uniwersyteckiej w Kijowie, a posłubiwszy w r. 1861 Maryę z Mianowskich, osiadł w majątku dziedzicznym Prażowie, pod Żytomierzem.

W r. 1863 jest członkiem czynnym organizacji powstańczej. Schwytany z papierami, skazany na śmierć, od której ratują go starania żony, znaczne ofiary materyalne, a gdy to wszystko nie wystarczało jeszcze, własnowolna śmierć ojca, oddającego życie, byle okupić śmiercią swą życie syna, zesłany zostaje do ciężkich robót w Syberii na lata całe.

Skazanemu towarzyszy młodzianka żona, która wraz z nim dzieli niedolę skazańców i dwuletnią podróż etapową, pod konwojem wojskowym i wśród zbrodniarzy, gnanych jednocześnie na kary w Syberii. Tam przeznaczają go do robót w warzelniach soli w Usolu, gub. irkuckiej. Po paroletnim tamże pobycie manifesty i starania przenoszą zesłańca do gubernii Rosyi europejskiej; zamieszkuje czas jakiś w Galiczu, później w Kostromie, a w r. 1873 przybywa do Warszawy.

Osiadłszy w Warszawie, dr. Lasocki, mianowany w r. 1875 naczelnym lekarzem budującej się wówczas kolei żelaznej nadwiślańskiej, pozostaje na tem stanowisku do r. 1898, t. j. do czasu, kiedy kolej przeszła na własność rządu. W tym czasie jest jednym z inicjatorów i założycieli dzisiejszego zakładu leczniczego w Nałęczowie, powstałego z ofiarnej grosza podobnych mu wyznańców, powracających do kraju, którymi kierowała myśl nie tylko ułatwienia i uprzystępnienia kuracji ludziom średniej zamożności, ale i utrzymania w kraju grosza, wywożonego w tym celu zagranicę; jako długoletni prezes do r. 1902 tej nowej instytucji krajowej, zajmuje się jej sprawami, a w r. 1898 przenosi się na stałe do Nałęczowa.

Tu traci żonę, zaciąga i wierną towarzyszkę doli i niedoli. Ciężką pracą dobyty, a zaoszczędzony grosz i zbiory oddaje na rzecz publicznego pożytku, zadawalając się skromnym od tego grosza dożywociem. Biblioteka i zbiory przechodzą na rzecz Muzeum narodowego w Krakowie; jego przeważnie funduszem wsparty, powstaje dom ludowy w Nałęczowie i kursy rolnicze w tymże domu; nie szczędzi pracy własnej, zbiera i uzupełnia kolekcję rycin, świata roślinnego i zwierzęcego, jedyną może w kraju, ułatwiającą działwie pogładowe poznanie istot żyjących na całym obszarze kuli ziemskiej; kolekcję tę uzupełnia okazami produktów zwierzęcych i roślinnych, wspiera pieniężnie powstałe tu muzeum etnograficzne, zbiera pamiątki i rysunki pamiątek krajowych, wcielając je do kolekcji, zdobiącej ściany izb domu ludowego, opiekuje się szkołami koszykarstwa i zabawkarstwa, założonemi przy jego współudziale i popieranemi przezeń; popiera finansowo i czynnie powstałe tu przed kilkoma laty Towarzystwo kredytowe nałęczowskie, biorąc udział w zarządzie tegoż towarzystwa, nie szczędzi również pracy własnej, pomimo późnego wieku, w zawiązaniu świeżo okręgowem Towarzystwie rolniczym nałęczowskim, jako przewodniczący sekcji drobnego przemysłu.

W uznaniu tych zasług jubilata, w 50-tą rocznicę jego pracy zawodowej, najbliżsi ich świadkowie uczcili go złożeniem należnego mu uznania i dziękczynień za to, co dla dobra powszechnego uczynił.

Wzniosłe sursum corda stanowiło dewizę całego jego życia i pomimowoli udzielało się otoczeniu, promieniowało, jak cnoty „*promieniowych*”. Młodsze pokolenie, często zagrane słowami jego do zbożnej pracy, do czynu, nieraz jeszcze w życiu uczci jego wspomnienie i powie, że niejedno dobre ziarno, jakie w duszę jego wpadło, jemu ma do zawdzięczenia.

H. W.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał trzeci roku bieżącego.



Uczynił daszek z dłoni nad zmęczonemi oczyma.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSENHOFF:

U N I A

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 28)

Ksiądz Antoni upatrzył sobie domek ogrodnika w parku, oddalony od pałacu, a zbliżony do publicznego traktu, i zaproponował administracji dóbr, że ten domek wynajmie na mieszkanie. Przyjęto ofertę skwapliwie, nie żądano nawet komornego, byle pozyskać pierwszego lokatora w parku, i to świętobliwego męża, który położy kres przesądom, odstrasającym od starego dworu, a w potrzebie i lichu, jeżeli jakie tam jest, odzagna. Ale ksiądz Wyrwicz nie chciał być na łasce, zawarł urzędowy kontrakt na lat dwanaście o dzierżawę płataną, z prawem przedłużenia tejże i przerobienia domku na swój użytek. Zgodzono się łatwo.

Niewielkim kosztem przekształcił ksiądz Antoni cztery izby murowanego dworku w idealne mieszkanie kulturalnego pustelnika. Książki, ściśle ustawione na prostych półkach, ubrały salonik w przyjazną powagę; sypialnia w lecie pełna była zapachu krzewów, zagląających w okno, a w zimie—ziół suchych i jeszcze książek. W dwóch innych izbach gospodarzył stary służący, Piotr Lejtan, brat słynnego strzelca Jurka.

Cały park, rozszalały zielenią, jako *de facto* rzecz niczyja, był własnością księdza Antoniego. Ta otchłań zieloności składała się z trzech pięter porostów. Od tłustej ziemi pędziły ogromne trawy i zielska, bal-

daszkowate miodowniki wzrostu człowieka i dzikie, uparte kwiaty, pozostałe z dawnych kwietników. To piętro dochodziło aż prawie do koron rzadkich drzew owocowych, rodzących już dziczki lub nieplodnych, mieszających konary swe suchotnicze z gmatwaniną bzów, jaśminów i czeremchy, z umajonymi tyrsami leszczyny. A nad tem wszystkim—korony lip układały się jeszcze na górnem piętrze w aleje, w rondle i w altany. Ptak szybujący miał pod niemi jeszcze swe przeloty według starego planu.

Siedząc tu już szósty rok, ksiądz Antoni z Piotrem odnowił parę ścieżek, usunął zator rzeczki, rozlewającej się w bagnistą sadzawkę, wprowadził odrobinę praktycznego ładu, ale nie ograniczył dzikiej swobody nimfy poniksztyńskiej, która mieszkała tu naga, nieprzymuszona, krewna dryad z puszczy. Około domku tylko w niewielkim promieniu żółty piasek znaczył szczupłe granice właściwej dzierżawy księdza Antoniego.

Miał tu ksiądz wielką wygodę dla potrzeb duszy i ciała: mógł codziennie chodzić do kościoła, odprawiać mszę i znów powracać do swego zacisza, gdzie go nikt nie odwiedzał, i do parku, gdzie nikt się nie przechadzał, oprócz duchów. Utrzymywał jednak stosunki z ludźmi przez poczucie obowiązku, nie przyznając sobie prawa całkowitego za-

topienia się w rozkoszy swej samotności. Więc w czasach świątecznych pomagał dziekanowi i wikaremu przy spowiadaniu ludu i kiedyindziej wyręczał swoich kolegów w uciążliwych często obowiązkach duszpaństwa. Ale że spełniał to zawsze bez wynagrodzenia, proszono go dość rzadko o pomoc. Dziekan, ksiądz Łukaszewicz, dobry kapłan i obywatel, nie miałby nic przeciw temu, ale wikary i księża okoliczni jawnie krytykowali bezinteresowność księdza Antoniego, pochodzącą, ich zdaniem, z chęci odznaczenia się. Pomawiano go nawet cichaczem o skłonność do mankietnictwa i do sekty. Ale ksiądz Wyrwicz imponował znów czem innym: świętobliwością obyczajów, wielką erudycją chrześcijańską, której zaczerpnął nawet w Rzymie. Będąc uprzednio nauczycielem domowym u Sołomereckich, poznał i u nich w Taborowie, i w podróży z nimi, szeroki świat, a już księgi nie opuszczały go nigdy.

Słynął też z wymowy i z dobrego stylu, gdyż czasem drukował artykuły po pismach, nawet świeckie. Ale do kazań w kościele poniksztyńskim nie dopuszczano go prawie nigdy; na tę funkcję kapłańską było zawsze dosyć innych amatorów, zwłaszcza księży Litwinów, nacyonalistów.

Ostatecznie, mimo swe niezaprzeczone

cnoty i zalety, ksiądz Wyrwicz uchodził za spiskowca między duchowieństwem okolicznym. Nie należał ani do hierarchii, ani do klubu księży miejscowych. Był dla nich to „rzymskim prałatem”, to znów „dumnym szlachcicem”, to nawet podejrzanym o niebezpieczne zamysły nowatorem. Krążyły wieści, że został księdzem bez powołania, tylko z powodu zawiedzionej miłości do jakiejś pani; że pisze w wielkiej tajemnicy dzieło nieprawomyślne, które wydać chce pod cudzem nazwiskiem; że gardzi drobnymi dochodami, bo ma stałą subwencję od jakiegoś stowarzyszenia, Bóg wie jakiego?... Nie słyszał o tem ksiądz Antoni, ale, czując niechęć księży do siebie, jak najmniej z nimi obcował, nie kradł im też owieczek, tylko te, które się do niego garnęły przypadkiem, wspomagał słowem i czynem, według swoich zasad i możliwości. Ale takich było mało, gdyż parafia, złożona z rozmaitych ludzi, jednak na ogół wybitnie konserwatywna, boczyła się ostrożnie od tego obcego księdza, który zamieszkał w opustoszałym parku, i nie mogła dojść do stanowczego sądu, kim jest ten człowiek o postawie wyniosłej i prostej, pod szronem lat już widocznym, zniewalający mądrym promieniem spojrzenia, z ręką otwartą dla ubogich, budzący uszanowanie, ale zarazem pewien żal, że nie jest taki, jak „nasi księża”. Zapewne na pokucie tu siedzi?—było zdanie o nim najpowszechniejsze.

Ale ksiądz Antoni nie tylko nie miał swego nowego życia w Ponikszcie za pokutę, lecz czynił sobie wyrzuty, że opływa w sybarytyczne rozkosze. Kilkaset rubli dochodu z kapitału, pomnożone jeszcze przez honoraria autorskie, wystarczały mu w zupełności na jego skromne potrzeby, nawet jałmużny. Spokój mieszkania, przepych parku, lekkie obowiązki kapłana bez parafii—pozostawiały mu czas i swobodę do pracy pisarskiej; siły i zdrowie dopisywały jeszcze w początku szóstego dziesięciolecia wędrówki ziemskiej.

Jedyną zgryzotą był mu brak doraźnych wyników jego pracy dla bliźnich. Niegdyś wychowywał młode dusze ze szczerym zapalem; wydawało mu się, że coś tworzył dla dobrej przyszłości, ale i w tem miał obok pociech rozczarowania. Rozwinięciu szerszej działalności wychowawczej według jego pragnień stanęły w poprzek liczne zapory rządowe, ideowe—wreszcie jego własne zniechęcenie. Rzucił się obecnie do nauczania słowem pisanem, do dzieła, które miało być czynem, przebudzeniem ludzkości, choćby tylko młodego pokolenia... Ale czy takie dzieło przebić się może przez natłok i zamęt drukowanego słowa? Czy ten zamiar gorący, a sposób wykonania tak przyjemny—nie są tylko utajoną pokusą Szatana, przynętą ku pysze kaznodziejskiej? Czy nie są lenistwem, zamiast podboju w służbie Bożej? Pisał jednak z całych sił, modląc się pisaniem do Chrystusa, jakim Go znał, widział i kochał.

Zapadał zmrok wcześniej w domku księdza, niż na pagórkach, gdyż słońce staczało się za park, którego cień zielony zalewał domostwo. Przed piszącym księdzem stanął stary Piotr Lejtan, niewielki, okrągły, z gatunku podobny do leśnego brata, Jurka,

ale bardziej domowy. Kot raczej, niż lis; rodzaj żbika utuczony w kuchni.

— Jak będziesz dobrodziej pisał, kiedy dzień topnieje, to i oczy stracisz. Ot, kiedy dzień rośnie powstający, dziękować Bogu, tak tedy dobrodziej sobie i pisz. Tedy zdrowo, bo światłość ranna wzmacnia oczy i w głowie rozwidnia. A tak i woda z rosy majowej z cytryną nie pomoże.

Piotr był nie tylko okulista, ale i lekarzem wogóle; kierował naczelnie higieną i dyetą swego pana, bo i jedzenie mu przyprowadził. Ksiądz Antoni bez sprzeczki odłożył pióro; wziął natomiast brewiarz i skierował się do parku.

— Brewiarz możesz dobrodziej sobie czytać choć w nocy, bo na pamięć umiesz. A na wieczrę, kiedy łaska, proszę wczas, bo odgrzewana strawa ciężka dla żołądka, jak grzech dla sumienia.

Ksiądz Wyrwicz był już za progiem tylnych drzwi domku, otwierających się bezpośrednio na zielony zalew, odgarnięty ledwie od okien. Poszedł brzegiem parku ku alei, gdzie było znacznie jaśniej, gdyż przez pnie wysokich lip, stojących na krańcu dawnych sadzeń, dochodziło różowe światło od słońca zachodzącego za jeziorem. Był to „belweder” parku, wzniesiony znacznie nad poziom okolicy, miejsce ucieczki oczu z gąszczów ogarniających do wesołego widnokręgu pól uprawnych, łąk i wód. Z wielkim trudem wygracował ksiądz Antoni z pomocą Piotra tę aleję, jeden bok ramy, obejmującej park wspaniałym dwurzędem lip po granicach. O zachodzie było tu pięknie nawet w zimie, a w zielonej porze roku tem piękniej. Ksiądz Antoni czuł się bogaczem w tej kolumnadzie lipowej, gdzie ciemne słupy drzew stały naprzemian z przejrzystymi pasami słonecznego pyłu, na których tle jasna kraina dziergała swe jaskrawe wzory.

Wieczór był pogodny, zachód czerwony, wrózący wiatr na jutro. Ksiądz Antoni przechodził wolno przez pasy cieniu i krwawego światła, rzadka spoglądając w brewiarz, modląc się ustami i oczyma do majestatu Bożego w przyrodzie.

— *Magnificat anima mea Dominum*—szeptał ksiądz słowa hymnu z „*Officium de Beata*”.

Zatrzymał się nagle, gdyż od północnego załamania alei ujrzął posuwające się dwie ciche postacie. Mieniły się szaro i różowo, dążąc przez zmienne światła alei.— — — Mignęły księdzu Antoniemu przez pamięć opowieści parafialne o zagrobowych gościach w parku. Choć ich dotąd nie spotkał, może jednak dzisiaj sprawdzi...? Jakies *fata morgana* zachodu...?

Uczył daszek z dłoni nad zmęczonemi oczyma i czekał nieruchomy. Postacie kobiece, nie tutejsze... jedna stąpa lekko i prosto, druga podąża trudniej, obie zakwefione. Nic w nich widmowego. Oto jedna wzniosła rękę i woła:

— Księżo Antoni! księżo profesorze!

Ten głos! Pasowały się w księdzu szybkie przypuszczenia i wizje coraz różowsze, aż obie kobiety były już przed nim, chwyciły go za ręce.

— Krysia! panna Karolina! — — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Nigdy pozdrowienie w Chrystusie nie było czystszej miłosne, pomimo swej świeckiej radości.

Poczęły się krzyżować bezładnie tłumaczenia wstępne i podziwy.

— Przyjeżdżamy do księdza profesora na dłuższą gościnę.

— Dobrze... Gdzieżecie to zajechały?

— Do dworu. Nie znam Ponikszty. Gdzie ksiądz profesor mieszka?

— Zaraz. Macie jaką podwodę, rzeczy?

— Sidorkiewicz czeka pode dworem.

— Trzeba do Piotra... Pięknie mi wyglądasz, Krysiu: gorąco i szlachetnie, po dawnemu.

Krystyna spojrzała prosto w oczy księdza, z zaufaniem córki do ojca.

— Szkoda, że nie uprzedziłaś mnie listem. No, wszystko jedno. Trzeba do Piotra... A pan Eustachy wie o twym wyjeździe?

— Broń Boże!—zawołała Krystyna—nawet zmyliłyśmy drogę, jadąc niby do kolei.

— Ach tak?...—zamyślił się ksiądz—więc niby ucieczka?... Pogadamy w domu. Musicie panie być bardzo zmęczone—sześć mil drogi z okładem.

— Pewno z dziesięć!—odezwała się panna Karolina z krótkim westchnieniem, jakby zrzucając z ramion ciężar podróży.

— Więc proszę za mną.

Wymieniając uśmiechy zakłopotane i serdeczne, poszli aleją, potem gęsiego, z księdzem na czele, przebijali się przez gąszcz wąską ścieżką, aż doszli do domku, gdzie przed progiem stał Piotr, z rękoma załamaniem na okrągłym żołądku. Usłyszał w parku niespodziewane gwary i wyjrzał z kuchni, żeby sprawdzić, co się święci. Czyżby na wieczrę, skąpo wymierzoną, dobrodziej wykoncypował sobie, bez jego wiedzy, kogo zaprosić?

Ale, poznawszy Krystynę, Piotr, dawny sługa Sołomereckich z Taborowa, zapomniał odrazu o kłopotach domowych. Rymnął do kolan Krystynie, którą kochał od dziecka:

— Panienko ty moja! a toż raz i przypomniała!

Ognista przedsiębiorczość ogarnęła staro, aż mu na nosie i na policzkach zakwitły ceglane rumieńce.

— Kiedy już do nas, tak trzeba będzie dla pani bibliotekę, a dla pani gubernantki sypialny dobrodziej... A dobrodziej już musi do altaryi.

— Nie wiedziałam, myślałam, że ksiądz profesor mieszka we dworze—szepnęła Krystyna skonfundowana, obejmując oczyma szczyt domku.— — A czy we dworze nie byłoby dla nas pomieszczenia?

— Ot co jeszcze!—zawołał Piotr z oburzeniem—we dworze tylko szczury i jeszcze Bóg wie co! Tak i będzie, nie frasujcie się panie.

Zamilkł na chwilę, chwycił się dłonią za dolną szczękę, jakby ją przemocą chciał uspokoić, i zastygł w postawie zadumanej, mrugając przemyślnie oczyma. Zwinął się potem, jak chwiejąca się fryga, i pobiegł do kuchni:

— Tak i będzie.—Nasamprzód podróznego w dom przyjąć, głodnego nakarmić...

Ta rudera razi moje oko.



Wł. JASIENSKI

Z teki pośmiertnej ADOLFA DYGASINSKIEGO:

CHAM.

NOVELA.

Wiek złoty pachciarzów starozakonnych minął bezpowrotnie na obszarach dóbr Lutopola. Ci ludzie nie mogą tam dziś handlować nawet napojem tak łagodnym, jak mleko. Bo młody dziedzic Lutopola, pan folwarków licznych, zerwał pęta staropolskiej zachowawczości ziemiańskiej i, zgodnie z duchem czasu, pourządził w swych majątkach gospodarstwo nabiłowe. Dzisiaj dwór doi krowy, wyrabia już masło, już sławne sery lutopolskie i ciągnie stąd zyski ogromne. Odpowiednio do założonego celu, dziedzic pozaprowadzał w jednych majątkach chów krów serowych, w innych — krów maślanych, i rozstrzygnął ważną sprawę—być albo nie być: „Kto już jest, ten ma prawo bytu”. Tylko człowiek bardzo przesądny może się zgorszyć, że bydło ocaliło od zagłady fortunę rodową i klejnot szlachecki, pozyskany w bojach przestępnych.

Folwark Kamionka był jedną ze stacyi gospodarskich, poświęconych sprawie chowu bydła rasy szwyc, jeśli się nie mylę. Budynki jego zdaleka widnieją na wzgórzu pod lasem i po największej części dobrze świadczą o zamieszności właściciela. Stodoła, owczarnia, stajnia, a przedewszystkiem obora, sprawiają takie wrażenie, jak gdyby tu była jakaś fabryka: gmachy ozdobne z cegły czerwonej. Jedynie czworaki, dom mieszkalny służby folwarcznej, stanowią pozostałość szczątkową z tych czasów, kiedy w Kamionce Żyd był pachciarzem: strzecha w dziurach, ściany odrapane chyłą

się do upadku, w oknach jeno gdzieniegdzie szybka szklana. Ale pan dziedzic coraz częściej powtarza: „Ta rudera razi moje oko!” I zapewne w roku przyszłym zaczną budować dom nowy dla czeladzi.

Zadanie gospodarskie folwarku polega na chowie młodocianych szwyców, to jest cieląt rasowych, które zgromadzono tutaj z innych folwarków klucza lutopolskiego. Prześliczne cielęta. Patrząc na nie, jest się pewnym, że z tej młodzieży wyrosną krowy dojne, okazałe byki rasowe.

W Kamionce, niby w zakładzie wychowawczym, znać troskliwość ogromną o wychowanków rogatych, jeśli tak można powiedzieć: doprowadzono higienę bydła do granic ostatnich. Jest tam i plac obszerny, otoczony murem, przeznaczony na ćwiczenia cielesne i przechadzki cieląt w porze, kiedy się ich nie wypędza na pastewniki odleglejsze. Jałówki mają tam przegrodę oddzielną, byczki również. Zresztą, młode szwyce, istne oczko w głowie dziedzica, w danym razie mogą sobie hasać po całym folwarku.

Lutopole daleko słynie z bydła rogatego, a zawdzięcza sławę głównie folwarkowi Kamionce. To też w okolicy bliższej ktokolwiek wspomni Kamionkę, zaraz musi myśleć i o cielętach rasowych; wspomnienie znowu młodych szwyców nastęrcza ci nieuchronnie myśl o Kamionce. Krótko mówiąc, jest to cielętnik znakomity, a ludzie, czytający gazety w odległych częściach kraju, dowiadują się tylko o Lutopolu.

Podobna niesprawiedliwość spotyka tu i ludzi. Wszyscy przypisują wyłącznie dzie-

dzicowi zasługę pomnażania bogactwa narodowego, a nikt nie wie, że w zacisznej Kamionce dwie osobistości przyczyniają się najwięcej do tego dzieła: Kaczor wódarz i Musiałek pastuch. Oni to są głową, sercem i ręką sprawy, która ma znaczenie niepospolite w gospodarstwie krajowem—dwa fijołki skromne w ukryciu. Maciej spędził całe swoje życie w staniu pasterskim. Jako chłopak dziesięcioletni, służył już za pomocnika skotaka, dawał sobie radę z krowami opornymi, z bykami zuchwałymi i od lat dziecięcych przepadał za cielętami. Nasłużył się dobrze i zasłużył dziełu pasterstwa, był już mężem dojrzałym, biegłym w pracy zawodowej, kiedy go w uznaniu zasług wyniesiono na stanowisko skotaka samodzielnego. Przybrał sobie wtedy pomocnika, ślepo posłusznego wykonawcę rozkazów, dwunastoletniego Musiałka.

Zatargi w obronie bydła z wódarzami, pachciarzami, polowymi wypełniały żywot człowieka przeszło półwiekowy. Wtem umarł stary pan na Lutopolu; młody dziedzic objął w posiadanie dobra obdłużone i odrazu wziął się do przeobrażenia pasterstwa, a przede wszystkim wyzwolił krowy z niewoli żydowskiej, podniósł je do godności bydła rasowego. Zwrócono uwagę na skotaka wrosłego ciałem i duszą w oborę, istnego patriarchy pasterza, oddano mu w zarząd poza oczy pańskie folwark Kamionkę i cielęta szwyce, na których dziedzic budował zamki przyszłości pastersko-rolniczej.

Tak Maciej dochrapał się godności, znaczenia, pociągnął za sobą Musiałka na stanowisko wyższe, zamianował go samodzielnym

pasterzem młodzieży szwyckiej. I Maciej i pomocnik jego należeli do rządu ludzi, którzy poza obrębem swego zawodu nic już nie widzą na świecie, nie mają, że tak powiem, sił duchowych na jakimś bądź innym polu. Tylko, ponieważ „honores mutant mores”, więc włodarzowi w Kamionce przewróciło się w głowie, i to niepoślednio: uwierzył w swą wielkość.

Mniemał on teraz, że, jako dostojnik, dla nadania sobie powagi większej, powinien koniecznie pojąć żonę, mieć dom, ognisko rodzinne. Otóż, poślubił niejaką Weronikę, dziewczkę ubogą, dobrą, bardzo urodziwą i o trzydzieści lat młodszą od niego. Dobrowolnie obarczył się obowiązkami, dla których nie miał ani serca, ani czasu. Żeniaczka stanowiła pierwszy występ jego próżności: godność dostojnika zyskuje na związku małżeńskim i staje się okazalszą.

Coś w rok po ślubie, przyszedł na świat syn; w rok po synu—znowu córka. Stary pasterz był obojętny, jak głaz, na rozkosze życia rodzinnego. Zżył się z bydłem, polubił oborę natógowo i serce zawsze go tam wyciągało z domu. Co znaczy żona, co znaczą dzieci dla człowieka, który stanął na świeczniku, wyobraża sobie, że jest wielki, i kocha w sobie tę wielkość? Cielęta miały sławę: więc i on uważał się za sławnego, chociaż nikt nigdy nie wypomnił Macieja Kaczora.

Jeździł z cielętami na wystawę do Warszawy i był bardzo dumny z tego, że cielęta nagrodzono medalem złotym.

Wielcy panowie odwiedzali Kamionkę, podziwiali szwyce, kupowali byczki, dawali mu hojnie rogowe. Dziedzic, jaśnie pan, klepał go nieraz poufale po ramieniu, zamawiając:— „Mój Maciusiu!” A często i zapytywał o zdanie.

Z tych powodów dawny skotak urósł w pychę, miał się za człowieka wielkiego, którego nikt nie zdoła zastąpić na świecie. Z pękiem kluczków u pasa, z rękoma w kieszeniach, z łbem zadartym do góry, włodarz chadzał po obejściu folwarcznym, lekceważąc całe swoje otoczenie. Uosobione „ja” pychy i próżności, pasterz-arystokrata.

Weronika, kobieta uczuciowa, jedna z takich, co to mają ideały i nigdy ich się nie wyrzekają, miłowała swe dzieci nad życie, a nie pojmowała męża, który wymagał, ażeby żona biła przed nim czołem, jak niewolnica, i brała udział w jego czynnościach ulubionych. Gniewało to włodarza, że Weronika zawsze mówi tylko o dzieciach i zajmuje się dziećmi, a tem samem lekceważy cielęta dworskie, przedmiot jego zabiegów nieustannych. Odymał pogardliwie wargi i przemawiał tonem wyrzutu:

— Byłem ci i ja dzieckiem, a choć nikt nie drepciał za mną ciągiem, nie obcierałem nosa, wyszedłem, chwała Bogu, na człowieka. Co innego stworzenia nieme!... Głowy potrzeba, i jakiej głowy, żeby wychować cielę, jak się patrzy...

Złość ostatnia go brała, kiedy spostrzegł, że baba nie pozwala narzucić sobie przekonania.

— Po com ja się ożenił?—myślał w duszy i uciekał do obory.

Włodarz nie znajdował uznania u różnych podwładnych na folwarku, na co żalił się niekiedy z goryczą przed rządcą albo dziedzicem:

— Naród nie zna nijakiego posłuchu!... Kij i bał tylko dla takich! Oniby mię tu rozdziobali, utopili w łyżce wody.

Owczarz, fornale, wylamywali się krnąbr-

nie z pod władzy zwierzchnika, który niedawno jeszcze pasał krowy.

— Pastuchem prostym był całe życie i taki chce teraz przewodzić nad nami—oho!

Bo każdy pasał bydło jako niedorostek; ale Kaczor pasał przez całe życie. Wszyscy uważali go za człowieka marnego, który nie dorósł do wysokości swego stanowiska i wznosił się przez schlebianie dworowi, przez „podwodzenie na ludzi”. — Szelma ostatni z pod ciemnej gwiazdy!

Laury włodarza miały więc ciernie dotkliwie drapiące. Sławny w swoim własnym mniemaniu pastuch prowadził wojnę otwartą z całym otoczeniem, wyglądał jak odyniec oskoczony przez psiarnię, która tylko zdaleka szczerka. Upojony wielkością, zbrojny władzą, ufny w łaski dworu, wyrzucał z folwarku opornych podwładnych. Coraz nowi owczarze i fornale pojawiali się w Kamionce, a każdy z nich po jakimś czasie knuł spiski przeciw władzy prawej. Maciej czuł się nieraz osamotniony wśród wrogów i drżał z obawy, aby nie naprowadzono złodziei, nie puszczone folwarku z dymem, albo „nie zadano” czegoś cielętom, jak to umiejają robić owczarzczarownicy. Takie chwile zbliżały go do dobrej żony, przyjaciółki prawdziwej, która, w mniemaniu, że mąż dostraja się do jej ideałów, występowała z kazaniem, raniła miłość własną chłopca i przez to właśnie wypędzała go z domu.

Wśród takich to okoliczności odbywał się chów cieląt rasowych w Kamionce.

Pieczliwość Macieja wzrastała, kapąły nań widome łaski pańskie i, jak przebąkiwano, oczekiwał go na starość chleb człowieka dobrze zasłużonego dworowi. O, głośno rozlegało się po folwarku butne Kaczorowe „ja!” Nieco cichszem stawało się ono wobec pana rządcy, a milkło zupełnie dopiero na widok dziedzica.

Chłop ambitny marzył przez pewien czas, że syn jego, Jasiek, będzie najprzód pomocnikiem pastucha, potem pastuchem, a nareszcie włodarzem i opiekunem cieląt w Kamionce. Godności i sława pozostałyby w rodzimym, syn powtórzyłby tatusia.

Tymczasem Weronika, marzycielka, miała inny pogląd na wychowanie dzieci, które uważała za swoje wyłącznie i niepodzielnie. Kiedy włodarz napomknął raz o swych zamiarach względem syna, kobieta porwała się, jak lwica, stawiała mężowi czoło:

— A tobie co do moich dzieci?... Wtrącaj się do cieląt! Oddam do szkoły chłopca, wykiuję go na człowieka.

Powiedziała to z taką stanowczością, że Maciej oniemiał, poczuł w sobie jakgdyby brak prawa do zajmowania się losem dzieci i pomyślał w duszy:

— Po kiego dyabła ja się ożeniłem?

Miał przekonanie, że jest wielki, a baba lekceważyła jego zdanie.

— Psiakrew! — splunął i poszedł do szwyców.

Włodarzowa wdychała „do czegoś wyższego”, wychowywała dzieci podług swoich własnych wyobrażeń. Rodzaj ludzki nie miałby żadnej wartości, gdyby zabrakło matek podobnych do Weroniki. Niewiasty takie nie ustępują nigdy, nawet wobec dowodów uzna-

nych za niezbite: uczucie ich ma potęgę wyższą i bardziej przekonującą, niż rozum i fakta rzeczywiste. Żona włodarza wcale nie była kłótniową, nie swarzyła się zęb z zęb z mężem; czasem zacięła się w uporze, milczała, znosiła spokojnie jego łajania, niekiedy otarła fartuchem łzę z oka. Nie zawsze tak bywało. Weronika bowiem odznaczała się ową spokojną ciętością języka, co to jednym słówkiem trafnie ugodzi w słabiznę, dobdzie, rozdrażni, zrani.

Kaczor wściekał się, kiedy mu baba tak dopiekała, powiedziała naprzykład:

— Do krzty zbydlęciałeś!

Wrzał wtedy gniewem, chodził niespokojnie po izbie, ręka go świerzbiała, a jednak nie śmiał uderzyć tej matki namiętnej.

Ona mu znowu dogryzała:

— Ten dziedzic jest chyba niespełna rozum, skoro ma ciebie za mądrego.

Albo:

— Już tam ta opieka nad cielętami musi nie być nic wielkiego, skoro jej ty i Musiałek udołacie!

On się wynosi, szuka uznania dla siebie, a kobieta głosem spokojniuteńkim rzecze:

— Maciek, ja ci rzetelnie mówię: ty nie masz rozumu większego od innych, tyła cię pycha okrutna wzdyma.

Włodarz nie mógł się już powstrzymać i wybuchał złością:

— Stul głę, ciapo! Wyrzucę cię z chałupy, dopiero zobaczysz, co znaczę, i będzie!...

— Oo, wiem, wiem, wyrzuciłbyś już dawno i mnie i dzieci; jeno ci chodzi o to, że we dworze powiedzą:— Przecie nie może dbać o cielęta taki niecnota, który z chałupy wyrzucił babę i dzieci rodzone!

Maciej wściekły trząsał drzwiami, uchodził do cieląt, a w głębi duszy myślał:

— Po kiego dyabła ja się ożeniłem? Mam wroga w domu.

Złościło go to, że mu kobieta zagląda do wnętrza i jest jakoby żywym wyrzutem sumienia.

— Psiakrew! — Lekceważyła stanowisko, godności, sławę. Wszyscy dyabli brali człowieka!

Włodarz w Kamionce mógł liczyć jedynie na swego pomocnika, Musiałka, którego w ciągu 15 lat wyćwiczył odpowiednio do swoich wymagań i wykierował na skotaka.

Ten Musiałek—nikt nie wiedział, jak mu było na imię—żywił dla mistrza Macieja cześć nadzwyczajną i usiłował naśladować go nawet w ruchach: stąpał z góry, zadzierał nosa, ale nie miał w swojej duszy wcale poczucia wielkości, gdyż nie był do tego zdolny—zupełnie człowiek-zero. Liczył blisko trzydzieści lat, a miał wygląd wyrostka najwyższej czternastoletniego. Kiedy został skotakiem samodzielnym na folwarku, poszedł za przykładem swego zwierzchnika i ożenił się z wdową Jagą, kobietą starą, która mogła być jego matką. Owocem tego małżeństwa był synek, Maciuś, głuchoniemy i wogóle bardzo upośledzony cielesnie i duchowo: twarzyczka, jakby ptasia, brzusek wydęty, cienkie nożyny, zgięte w kabłąk, rączęta, jak słomki, zapadłe oczy niebieskawe i bez wyrazu, cera sino-błada. Siedział pod ścianą czworaków do słońka, spoglądał wokoło bezmyślnie, a zawsze trzymał i ssał palec w ustach. Kury albo kaczki mogłyby z łatwością zadziobać to dziecko. Widocznie nikły Musiałek i baba jego, stara Jaga, wiedźma ostrokoścista, nie nadawali się do ulepszenia rasy w rodzaju ludzkim.

(DCN)



ODPOWIEDZI

OD REDAKCYI.

P. A. Orl. w Sosnowcu. Wierszyki Pańskie są zaledwie poprawne. Nie będziemy z nich korzystali.

P. Stefanowi Żuch. w Krakowie. Wiersze Pańskie nie są bez zalet, ale mają i poważne usterki, zdradzające niedostateczne opanowanie formy poetycką.

P. Annie Cz. „Inwokacja” nie jest pozbawiona pewnych zalet literackich. Nie jest to jednak jeszcze rzecz dla nas. Rękopis do zwrotu.

Krakowiakowi. Żatujemy niezmiernie, ale, z powodu nawału zalegających w tece rękopisów, skorzystać z wierszy Pańskich nie możemy.

Melancholii. Seminarium dla nauczycielek ludowych w Warszawie, przy ul. Nowo-Wielkiej; 2 kursy roczne, opłata 50 rb. rocznie w dwóch ratach; kwalifikacje wymagane na I kurs — 4 klasy zakładu średniego.

P. Fr. Wiśniowiecki, Baltimore. Najdokładniej poinformuje Sz. P. redakcja jednego z dzienników wileńskich, np. *Kuryera Litewskiego* (Wilno, Plac Katedralny nr. 4).

Prenumeratorowi A. B. Adresu Izzet Melyh Beja nie znamy.

P. Helenie Szop. Z nadesłanych łaskawie wierszy nie skorzystamy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

Halenowi. Godne... kosza.

P. Kamińskiemu. Wiarus Polski—Bochum, Westfalia; *Gryf*—Kościerzyna, Berent, Wpr., ces. niemieckie; *Dziennik Berliński*—Berlin (wystarczy!)

P. W. Artykuł pański o „Letniskach współczesnych”, odpowiedni dla pisma codziennego, nie będzie mógł znaleźć miejsca na szpaltach *Tygodnika*, posiada bowiem charakter wyłącznie publicystyczny, nie zaś literacki.

P. T. B. K. Najserdeczniej życzymy powodzenia w rozpoczętych studiach literackich, oraz wytrwania na tej drodze. Czy przeznaczona jest Sz. P.

górną drogą poezji—trudno dziś przewidzieć. Nadesłane próbki nie znamionują wprawdzie talentu, ale trudno dziś jeszcze coś przesądzać. Jeżeli nawet Sz. Panu nie sędzono zbierać laury poetyckie, to przynajmniej studia literackie pogłębią i rozszerzą kulturę umysłową i artystyczną, a i to wiele warte.

P. J. Tok. w Łodzi. Wiersz nie tylko nie jest „dobry”, ale zdradza gruntowną nieznajomość zasad wiersza, stylu, nawet gramatyki i ortografii. Szkoda czasu!

P. Adam P. w Krakowie. Obrazka p. t. „Sen” nie zamieścimy. Rękopis do zwrotu, po nadesłaniu kosztów przeżytki.

Prenumeratorowi z gub. Witebskiej. 1) Adres Kasy Mianowskiego—Niecała 7; 2) w drugiej sprawie najlepszych informacji udzieli p. Stołagiewicz w biurze Warsz. Tow. Ubezpieczeń (Krakowskie Przedmieście 7).

P. J. Czapińskiemu. Notatkę Sz. P. o Adelcie otrzymaliśmy. Jest to rzecz

bardzo ciekawa, ale słusznie Sz. P. sam wspomina, że należałoby sprawę wyświetlić i sprawdzić. W tym celu zwróciliśmy się do starych urzędników Banku Polskiego z prośbą o informację. Po otrzymaniu ich nie omieszkamy natychmiast zawiadomić Sz. P., ewentualnie zużytkować artykuł. Tymczasem dziękujemy serdecznie za życzliwość.

P. Wł. Mijakowskiemu w Wierszewie. Dziękujemy serdecznie za pamięć. O broszurkę prosimy, może się przyda.

P. M. C. Dziwy życia od dwu lat już nie wychodzą.

P. R. R. R. Wiersze Sz. Pani miłogotliwe, jak kryształ, ale, jak lód, zimne. Czemuż w nich ni razu nie przemówiło serce?

Prenumeratorce z B. Firmy, o którą Sz. Pani zapytuje, ani też jej wyrobów nie znamy.

P. A. Jodziejczowi. Książka p. L. Janowskiego, o którą Sz. P. zapytuje, nie wyszła.

NADESŁANE.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



NAJWYTWORNIEJSZE
PERFUMY BEZSPIRYTUSU
Z KWIATU „KONWALIA”
F. PROCHASKA PRAGA.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
I UBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
p. zesza na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.



MYDŁO Z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”

BERGMANN i S^{KA} RADEBEUL-DREZNO

daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd.
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz
delikatną, osłepiająco piękną cerę.
Po 50 kop. dostać można wędzie.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, dom Sinoera.



BIELIZNĘ MEŻKĄ

białą i kolorową z c. k. nadw. fabr.
V. Suppaucic, poleca

ZDZIŚLAW ZDANOWICZ

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.



KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie



NESTLÉ

MACZKA MLECZNA

Polski Pensjonat

Stefanii Machota

= w JAŁCIE =

dom doktora Lebediewa.
Poleca pokoje z całodziennym utrzymaniem i usługą.

C. Skoryna


Warszawa-Praga
OLSZOWA 14, Tel. 49.

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisyje i t. p.

MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku, Czekoladę **Mleczną—Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACH i S^{KA}
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 — Nowosienna 9
pośredniczą
w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św. Łazarza
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

P. Stasi z Częstochowy. Są liczne sposoby uformowania zbyt niskiego biustu, niepodobna jednak dla braku miejsca w treściwej odpowiedzi podać radę skuteczną. Na zadry radykalnym środkiem jest *Onglophile Dorina*.

Lilli Wenedzie. Jeżeli złotęj pręgi na szyi wszystkie 3 numery *Lanolu* nie usunęły, należy użyć kremu *D-ra Orgley*, smarować parę razy na dzień, jeżeli bardzo uporczywa.

P. Leontynie. Działka wzmacnia znakomicie Elikser Benedyktyński, lecz ten sam skutek osiągnie pani, używając *Tymentolu* wyrobu tutejszego Centralnego Laboratorium Chemicznego. Elikser ten, w połączeniu z proszkiem tej samej nazwy, wybieli ząbki i zabezpieczy od próchnienia.

P. K. w Radomiu. Mydło powinno być przedewszystkiem mydłem, a nie jakąś maścią, która rozlaźni się w wodzie po parokrotnym użyciu; powtóre, nie powinno być ani gryzące, ani za tłuste. Z pomiędzy szumnie reklamowanych mydeł jedynie *neutralne Karpinińskiego* ma wszystkie zalety mydła higienicznego.

P. Mecenasowej. Sokiem z cebulek liliowych od niepamiętnych czasów leczono skórne choroby. *Abarid* jest galaretą, wyciśniętą z tych cebulek, dlatego tak zbawiennie wpływa na zjędrnienie mięs, wygładzenie skóry i chroni od tworzenia się zmarszczek na twarzy.

Niezaradnej. Perfumerya *Perfection*, Szpitalna 10, wyśle pocztą *Abarid* i wszelkie inne żądane przez Panią specyfiki.

P. Zofii. Przed farbowaniem, włosy zawsze myć trzeba, co jest zbyt uciążliwe. Jedyna farba *Hennoline* tego zabiegu nie wymaga.

Mercédès.



ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność **GEBETHNERA i WOLFFA**.

KARPINSKIEGO
KREM OGORKOWY MATOWY
Cena 60 kop:
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne
Fr. Karpinińskiego
w Warszawie Elektralna 35. Telefon 600
Żądać wszędzie.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



CZYŚCI I WYBIELA KAPELUSZE SŁOMKOWE I PANAMSKIE

SŁOMIN

Centralnego Laboratorium Chemicznego. Za pomocą tego środka oczyszcza się momentalnie kapelusz i nadaje mu wygląd nowego. Plecionka nic przez to nie cierpi i nie twardnieje. Formę kapelusza zaraz po oczyszczeniu zmienić można wedle upodobania.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT GEBETHNERA i WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda)

Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa
nutowe w tomach

„UNIwersAL-EDITION“

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition“ zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litolffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**
KRAKOW TELEFON 671

KLAWIOL na odciski
— świetny!
Apteka Kowalskiego, Graniczna 10 i wszędzie

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ
Choroby dróg moczowych. Oświetlenie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5—7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

Dr JAN LATINIK
ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael“.

KSIEGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZYI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



**GABINET
ŚWIATŁOLECZNICZY**

D-ra Ludwika Chybczyńskiego

Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materyały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

SALON „ARS“

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

L. Lipiński { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. }
{ WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, } Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuteria złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN **KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.